



AZYA. — CHINY. W. X. Augustyn Płaczek, misjonarz apostolski w Hong-Kongu, między dwu kapłanami chińskimi świeżo wyświęconymi i klerykami swego seminarium; podług fotografii z sierpnia 1910 r.

KSZTAŁCENIE KLERU CHIŃSKIEGO I KATECHISTÓW w Hong-Kongu.

List X. Augustyna Płaczka, misjonarza apostolskiego
w Hong-Kongu,
do X. M. C. w Krakowie.

Hong-Kong, 5 września 1910.

St. Joseph's church.

...Dla księży nie znających języka swych podwładnych, głoszenie słowa Bożego jest bardzo utrudnione, a czasem wcale niemożliwe. Choćby kapłan jak najlepszego miał tłumacza, nie wiele na tem zyska; słowo Boże musi trafić do serca i zapalić go do miłości Chrystusa, a to tylko ojczysta mowa może osiągnąć. To też Kościół św. nie szczędził trudów w wyrabianiu nauczycieli duchownych, gdzie tylko ziarno wiary było zasiane, ustanawiał biskupów i wzywał ich, aby zakładali seminarja i w nich kształcili młodzież we wierze i cnocie, aby potem między swojemi mogli sprawować

urząd kapłański. Tak bardzo leży na sercu Kościołowi św. nauka w ojczystym języku, że i w Rzymie Namiestnicy Chrystusowi nigdy nie przestali nawoływać kapłanów do zapoznania się z mową wiernych sobie oddanych.

Przytoczę tu jako przykład dekret ostatniego synodu w Hong-Kongu, potwierdzony przez Ojca św. Piusa X, który opiewa, że: »każdy nowy misjonarz po upływie sześciu miesięcy od przybycia na misję, musi zdać egzamin z języka miejscowego, z katechizmu i modlitw w tymże języku, żaden zaś nie będzie potwierdzony, jeżeli nie okazał zdolności, w ostatnim razie biskup go wyśle do ojczyzny.« I słusznie, bo kapłan nie władający językiem powierzonej mu trzody, nie może się zwać dobrym pasterzem, bo nie zna swoich, a swoi go też nie znają.

Przejęci więc cnotą posłuszeństwa, nasi pierwsi misjonarze poświęcili wszystek czas i siły, aby się obznajomić z językiem tubylców, i wkrótce po zajęciu misji utworzyli małe seminarjum duchowne, gdzie młodzież chińska miała otrzymać zdrowe wychowanie

i wykształcenie, aby potem sprawować urząd kapłański. Ale trudności były nie małe. Misya jeszcze młoda nie miała kandydatów do stanu kapłańskiego, neofitów zaś nie można dopuścić na święty urząd, bo płynie w nich jeszcze krew pogańska, zmieszana z zabobonami i niedowiarstwem. Nie mówiąc o braku funduszków na utrzymanie kleryków, wspomnę tylko jeszcze, że brak książek, gramatyk i t. p., oraz nieznamość chińskich znaków piśmiennych, sprawiało wielkie trudności pierwszym nauczycielom. Wszystkie te przeszkody zwyciężono za łaską Bożą i już w r. 1862 został wyświęcony pierwszy kapłan Chińczyk, a w r. 1894 misya liczyła już sześciu księży tutejszych. Nie wielka to liczba na oko, ale bardzo poważna dla misyi, bo wiele gmin katolickich, które w pierw misionarz mógł odwiedzać bardzo rzadko, miały teraz sposobność i pociechę przyjmowania Sakramentów św. i słuchania słowa Bożego co kilka tygodni, a nawet częściej.

Księża chińscy są nam bardzo na rękę, bo pomagają nam w ćwiczeniu katechistów, którzy potem uczą w szkołach katechizmu dzieci i starszych. Misya nasza jest bardzo rozległa; czasem ma jeden misionarz dziesięć i więcej stacyj pod swą opieką, rozsianych na wielkim obszarze, i choć ciągle podróżuje, nie może jednak sam osobiście utwierdzić we wierze licznych katechumenów (obecnie mamy ich przeszło 1.000) dla braku czasu. Z młodzieżą to sprawa łatwa, bo gdy raz wiara św. zapuściła w ich sercu korzenie, gdy poznali jej podstawy, to pozostają dobrymi synami Kościoła. Ale starszych musimy próbować i to czasem kilka lat, bo są przesiąknięci zwyczajami pogańskimi, których im nie łatwo się pozbyć. Nauczają ich więc w nieobecności misionarza katechiści, czyli nauczyciele, mający stałą siedzibę w niektórych stacyach, gdzie się znajduje większa liczba katechumenów. A że wydatki na takich nauczycieli nie małe, nie mamy ich na wszystkich stacyach, bo środki na to nie wystarczają. Wielu przeto, którzyby chętnie przyjęli wiarę, pozostają w ciemnościach pogaństwa dla braku pracowników.

Do seminaryum przyjmujemy tylko chłopców chińskich poniżej 16 lat. Jeżeli się okaże, że nie ma zdolności lub powołania do stanu kapłańskiego, to go wysyłamy do domu, gdzie często obejmuje miejsce katechisty. Wychowanie kleryków jest bezpłatne i tylko niektórzy w pierwszych latach sprawiają sobie ubranie na własny koszt. Zdawałoby się przeto czytelnikowi, że powinniśmy mieć wielką liczbę wychowanków, jeżeli są przyjmowani bezpłatnie. Muszę jednak zaznaczyć, że tutejsza ludność jest bardzo uboga; bogatych chrześcijan tu wcale nie mamy, a ci, co nieco posiadają, płacą za ubranie; utrzymanie zaś, książki, naukę i t. p. bezpłatnie. Druga najważniejsza przyczyna braku kandydatów do stanu kapłańskiego jest

część dla zmarłych przodków. Jeżeli matce przyjdzie na świat chłopiec, to radość wielka w rodzinie, bo on i jego przyszłe pokolenie będzie nosiło imię rodzinne i oddawało należną część zmarłym rodzicom, dziadkom i pradziadom. Wymarcie zaś pokolenia to największe nieszczęście dla rodziców, bo, jak oni mniemają, żadnej czci po śmierci nie będą mieli, ani ich przodkowie. W każdej rodzinie chińskiej znajdują się tablice, na których są wyrzeźbione imiona przodków. Przed niemi pali Chińczyk świece łojowe i nibyto kadzidło, nieznosne dla nosa. Modli się przytem cała rodzina do duchów i oddaje im część boską. Chwała to największa dla zmarłych, jeżeli przyszłe pokolenia ich czczą, a czem więcej tablic w domu, tem większy honor dla rodziny. Pragną więc, aby ich pokolenie się rozmnażało i wszelkimi otaczają chłopca troskami, aby go uczynić zdolnym do zawarcia małżeństwa i rozkrzewienia pokolenia. O dziewczęta się nie troszczą, nawet często je sprzedają lub wyrzucają, jeżeli im brak środków na ich wyżywienie. Jest to zwyczaj zabobonny i nasi katolicy go nie praktykują; nie czczą duchów przodków, ani też nie wyrzucają dziewcząt. Pozostało jednak w ich naturze życzenie pokolenia, i chociażby chłopiec okazywał powołanie i chęć poświęcenia się na służbę Bożą, nie zezwolą mu na to rodzice tak łatwo, szczególnie jeżeli on jest jedyny w rodzinie.

Przed dziewięciu laty przyjąłem do seminaryum chłopca A-Kan-Ćai, bardzo cnotliwego i inteligentnego z dobrej bardzo, choć ubogiej rodziny. Miał on jeszcze dwu młodszych braci, przeto rodzice nie robili mu ostatecznie trudności w jego przedsięwzięciu. Postępował on rażno w nauce i cnocie, i pozyskał sobie przywiązanie wszystkich, którzy mieli sposobność go poznać. Tymczasem śmierć zabrała dwu jego młodszych braci, i rodzice natychmiast zawezwali chłopca, aby wystąpił z seminaryum. Ale nie łatwo im było dopiąć celu, bo zakochał się już zanadto w swoim świętem postanowieniu i wprost oświadczył rodzicom, że nie wystąpi z seminaryum, a gdyby go do tego zmusili, będzie dalej prowadził życie samotne, bo nie dba o potomstwo. Zdawało się nawet, że rodzice zdali się na wolę Bożą, bo przez kilka miesięcy zostawili chłopca w spokoju. Ale było to tylko ułudą, czekali lepszej sposobności.

Podczas upałów letnich, gdy szkoły są zamknięte, studenci zażywają świeższego powietrza i ruchu, podróżując z jednej misyi na drugą. Zwiedziliśmy także wyspę Im Tim-Ćai, zamieszkałą wyłącznie przez chrześcijan, a siedzibę rodziny naszego młodzieńca A-Kan-Ćai, który ze strachem powracał na wyspę, gdzie się urodził, bo przeczuwał niebezpieczeństwo. Pocieszałem go, że w mojej obecności nikt go zmusić nie może, ani nawet rodzice, aby pozostał w domu, nikt mu nie zagrozi drogi, aby znów powrócił do seminaryum.

Ale chłopak truchlał i trzymał się rękami mojej su-tanny, a nawet na prośbę matki i ojca nie chciał się oderwać odemnie. Wiedział, że go chcieli gwałtem porwać, aby pozostał w rodzinie. I rzeczywiście miał słuszość, bo gdy mieliśmy opuszczać wyspę, zjawiła się niespodzianie matka i chciała go wziąć ze sobą; on zaś stulił się w moją sutannę, uchwycił się nóg i nie chciał mnie opuścić. Zabrałem go przemocą ze sobą i przyrzekłem matce, że jeżeli mi nie będzie robiła trudności, to po powrocie do seminaryum wyślę chłopca do domu. Nie miała ona jednak cierpliwości i zjawiła się znów nagle w Hong-Kongu, aby zabrać syna ze sobą. Unosił się chłopak od płaczu i prosił matkę, aby się zlitowała, prosił i mnie, abym go bronił, ale nie mogłem. Pocieszałem go tylko, ile mogłem, i przyrzekłem, że jeżeli wola Boża, to znów może powrócić do nauki choćby po kilku latach. Opuścił on nas smutny i blady, twarz jego wyrażała boleść wewnętrzną.

Po powrocie na wyspę rodzice już kupili dla niego przyszlą małżonkę, ale chłopak się opierał i dopiero po długim czasie zdołali go nakłonić, aby ją poślubił. Nie znał jednak swojej żony, bo nigdy z nią nie żył, ani nie rozmawiał. Widocznie jednak był bardzo zmartwiony, bo z dnia na dzień słabł coraz bardziej, i po roku wyzionął swą czystą dziewiczą duszę, która z pewnością uniosła się prosto do nieba. Rodzice żałowali swego postępku, ale za późno. Przykład ten jednak miał swoje skutki, bo wywarł wielkie wrażenie na studentach i ich rodzicach.

Z powyższego przykładu każdy przyzna, że mamy trudności w wychowywaniu nowych pracowników, bo jedni utrudniają młodzieńcom wstęp do stanu duchownego, pędzeni żądzą potomstwa, drudzy zaś, jak się zdarza i u nas, żądzą rzeczy światowych. Bóg nam błogosławił od tego wypadku, bo mieliśmy co rok więcej postulantów. W r. 1898 miałem tylko dwunastu seminarzystów, obecnie dwudziestu, nie licząc sześciu księży wyświęconych w ostatnich latach. Moglibyśmy i więcej młodzieży przyjmować, ale brak miejsca i wielkie wydatki na to nie pozwalają. Musimy żyć według miary. Znajomość jednak owoców naszej pracy dodaje nam otuchy i żywimy nadzieję, że Pan Bóg i w przyszłości nam dopomoże w wypełnianiu Jego woli, t. j. w wytwarzaniu kleru chińskiego, który potem własnymi siłami będzie pracował dla zbawienia dusz pomiędzy własnym narodem. Kiedy ta pożądana chwila nadejdzie, nie wiadomo, bo lud chiński nie dojrzał do samorządu, szczególnie w trudnej pracy krzewienia wiary. Dałby Bóg, aby to prędko się zmieniło.

Ważniejsze przedmioty, z których klerycy zdać muszą egzamin, są: język chiński, łacina, filozofia, teologia dogmatyczna i moralna, muzyka.

Wykłady w niższych klasach są chińskie, w wyższych zaś w języku łacińskim, to też między księżmi rozmawiamy tylko po łacinie. Metafizyka jest przedmiotem najtrudniejszym dla Chińczyków, bo ich mowa jest materyjalną i odpowiednich znaków nie mają w swoim języku. Chińczyk uczy się głośno swojego języka, a w taki sam sposób i innych lekcji; to też zdaleka zauważyć można, gdzie się znajduje szkoła, bo wrzaski uczniów słychać zdaleka. Zdawałoby się, że jeden drugiemu przeszkadza, ale tak nie jest, bo są do tego przyzwyczajeni i każdy bez trudności deklamuje swoją lekcję głośno, aż ją spamięta. Wielu z tego powodu choruje na suchoty, bo ciągłym wrzaskiem nadwyrężają płuca; reszta zaś ma wygląd słabowity i twarz bladą.

Celem naszego seminaryum jest — jak już wyżej wspomniałem — wychowanie kleru chińskiego i wszelkich sił używamy, aby nasi wychowawcy mówili i pisali poprawnie w ojczystym języku. Chińska mowa piśmienna jest jednolitą w całych Chinach, wszędzie używa się jednakowych znaków na oznaczenie przedmiotów i czynów. Chińczycy nie mają alfabetu, używają natomiast znaków odrębnych na oznaczenie każdego słowa. Ile słów istnieje w chińskiej mowie, tyle i znaków odpowiednich.*) Trzeba mieć dobrą pamięć i fantazyę, aby zatrzymać w głowie tyle tysięcy chyroglifów razem ze znaczeniem. Dlatego też Chińczycy uczą się głośno swych lekcji i w trójnásób wbijają do głowy swe zadania, t. j. okiem, słuchem i powtarzaniem. Patrzą bowiem ciągle na znaki, słuchają znaczenia wymową, a powtarzaniem przyswajają sobie lekcję i zatrzymują ją w pamięci. Studyowanie mowy chińskiej trwa całe lata, a choć nasi wychowawcy mają codziennie dwie lekcje, nie można ich nazwać literatami gdy zostaną wyświęceni, choć niektórzy i 20 lat strawili na nauce języka pisanego. Muszą się jeszcze potem uczyć, aby sobie zaskarbić większą ilość znaków.

Język potoczny różni się stosownie do okolic, np. Chińczyk kantoński wcale nie rozumie mowy Chińczyka z Pekinu i odwrotnie. W naszej misji mamy trzy narzecza różniące się znacznie jedno od drugiego. Nauka jednak narzeczy nie sprawia zbytnich trudności, i kto już zna jedno dokładnie, łatwo sobie przyswoi inne narzecze. Wysyłamy w tym celu kleryków do obwodów odpowiednich, gdzie uczą dzieci katechizmu, a zarazem sami uczą się innego narzecza. W ten sposób młody kleryk poznaje pole przyszłej pracy i przyzwyczajają się do niewygód, podróży i innych trudności misyjnych, których tu nie brak. Hartuje się więc powoli młody lewita, a jeżeli okaże wytrwałość i chęć do pracy, jeżeli wesoło stawia czoło twardemu życiu na misjach, jest to znak, że ma powołanie na pracownika w winnicy Pańskiej, gdzie żniwo wielkie, a robotników mało.

*) Słownik chiński zawiera około 90.000 znaków.

Krótki ten opis wystarczy, aby Wam dać pojęcie o wychowaniu kleru chińskiego i katechistów. Ale zapyta się może kto z czytelników: skąd tam bierze zasoby na wychowanie ochotników do rozszerzania Ewangelii? Otóż ze skarbu Opatrzności Boskiej, która nikogo nie opuszcza, kto Jej zaufa. Seminarium nie posiada żadnej fundacji, ani nawet odpowiedniego budynku na kształcenie kleru. Podczas mojego tu pobytu, zmienialiśmy już trzy razy siedzibę, a i obecnie nasze mieszkanie nie odpowiada wcale celowi. Ufamy

jednak bardzo, że Opatrzność Boska natchnie szlachetnych dobrodziejów, którzy nam dopomogą w naszych trudnościach i przyczynią się swoją ofiarnością nie tylko na budowę seminarium, ale i na fundusz niezbędnie potrzebny na jego utrzymanie. O jak miłoby mi było wystawić pomnik ofiarności polskiej tu pomiędzy poganami! pomnik najzbawienniejszy dla pogan i ofiarodawców! Bo cóż wznioślejszego nad wychowanie kleru chińskiego? Wychowankowie w seminarium modlą się codziennie za dobrodziejów; kapłani



CHINY. Seminarzyści w Hong-Kongu, wychowankowie X. Augustyna Płaczka, misjonarza w Hong-Kongu; według fotografii z r. 1910.

polecają ich Bogu podczas Mszy św., nawracają pogan, a ich zasługi rozlewają się na dobrodziejów, znosząc prześladowania, kary więzienne, przelewają krew za wiarę, a dobrodzieje dzielą się ich zasługami, bo ich hojne dary dopomogły im do dostąpienia godności kapłańskiej. Łaski niezliczone spływają na tych, co się przyczynili ofiarnością na wychowanie kapłana. A tu ich wielki brak! Słusznie żali się Pan Jezus, że »żniwo wielkie, a robotników mało.« Zadość uczynicie pragnieniu Zbawiciela, szlachetni dobrodzieje, waszą ofiarnością na wychowanie nowych pracowników, i otrzymacie na pewno nagrodę tu i w przyszłym życiu.

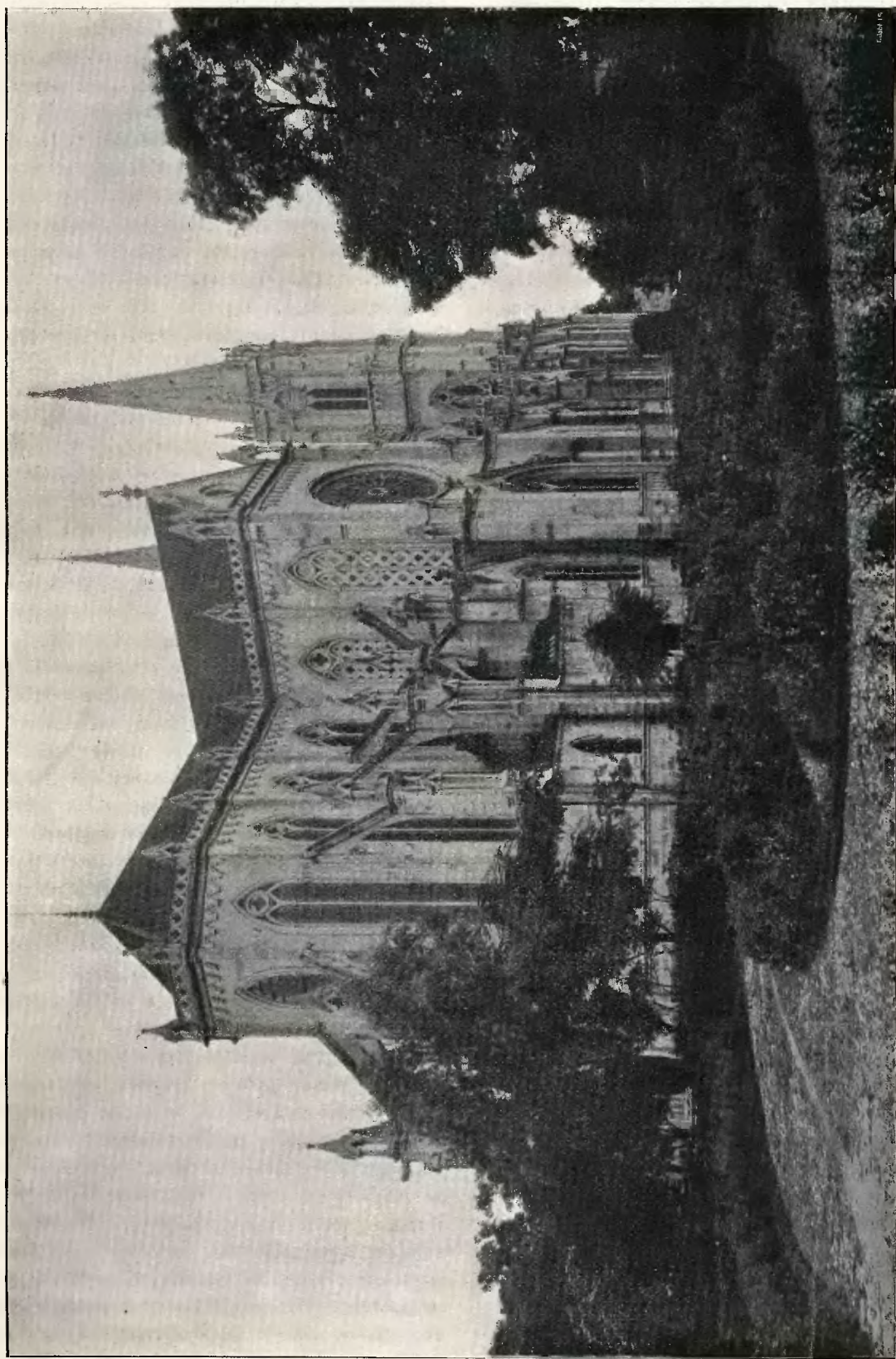
X. Augustyn Płaczek
misyjonarz apostolski w Hong-Kongu.

ESKIMOSI W ALASCE I NAD ZATOKĄ BERYNGA.

Przez O. Bernard'a T. J., misjonarza w Alasce.

Terytoryum Alaski stanowi dziś osobną prefekturę apostolską. Dawniej wchodziło ono w skład dycezyi Vancouver, od której odezwane zostało dekretem z dnia 27 lipca 1894 r., tworząc od tego czasu samoistną misję.

Około 70.000 mieszkańców, z których 12.000 katolików i 10.000 prawosławnych Rosyan rozprószonych jest na tej ogromnej przestrzeni. Siedmnastu misjonarzy Tow. Jez. obsługuje tam 40 kościołów i kaplic; Bracia szkół chrześcijańskich i zakonnice kierują szkołami.



CHINY. Katedra w Kantonie; podług fotografii przysłanej przez JE. X. Arcybiskupa Zaleskiego, Delegata apostołskiego w Indjach Wschodnich.

W okręgu powierzonym staraniom O. Bernard'a, praca misyjna napotyka największe może trudności. Sprawozdanie jego jest tem ciekawsze, że dotąd *Misyje katolickie* ogłaszały bardzo szczupłe tylko wiadomości o Alasce. Jest to nowy dział winnicy Pańskiej, polecający się życzliwości czytelników *Misyj katolickich*.

Szczegóły geograficzne. Kto chce udać się do Alaski, wsiada w Hawrze na statek, który odbywa w ciągu sześciu dni drogę do Nowego Jorku. Stamtąd po sześciodniowej podróży koleją, dojeżdża się do Wankuweru. Następnie w Saettie obok Wankuweru wsiada się znów na statek, który płynąc oceanem Spokojnym ku Alasce, omija po drodze wyspy Aleuckie i niebezpieczny przesmyk Unimak, a pozostawiając po prawej stronie wybuchający wulkan, dostaje się na morze Berynga. Tam statek okrąża przylądek Nome i przybywa wreszcie na miejsce przeznaczenia do misji tegoż imienia, leżącej na wybrzeżu.

Niema tam wcale portu. Szalupą dojeżdża się do brzegu wraz z rzeczami, poczem szalupa powraca do statku. W Nome znajduje się fort i szpital, obsługiwany przez dwanaście Sióstr; to jeszcze świat cywilizowany.

Ale moja misya, zwana Marys Igloo (Igloo po eskimosku chata), leży jeszcze o 150 kilometrów dalej. Tam się już jest poza światem. Ja i kolega mój, O. La Fortune, widzimy się z sobą tylko dwa razy do roku dla wypowiedania się wzajemnie. Stacya moja jest misją najdalej posuniętą w kierunku bieguna, od którego odległą jest tylko o 2.500 kilometrów.

Alaska obejmuje obszar ziemi dwa razy i pół większy od Francji, to znaczy, że powierzchnia jej równa się siódmej części całej Europy, a ludność jej wynosi tylko 100.000 mieszkańców. Okrąg mój jest tak wielki jak Belgia. Obejmuje on całą cieśninę Berynga i leży częścią na morzu Berynga, częścią na oceanie podbiegunowym.

Pory roku, warunki klimatyczne. Miewamy tu tylko dwie pory roku: zimę i lato. — Lato trwa od sześciu tygodni do dwóch miesięcy, zima przez resztę roku. W zimie temperatura spada przeciętnie od 35 do 40 stopni poniżej zera. Spada też niekiedy do 60, a w miejscowościach położonych bliżej bieguna do 70.

Przez trzy miesiące nie widzimy wcale światła dziennego, za to gwiazdy świecą wtedy cudownym blaskiem, a księżyc usiłuje zastąpić słońce, co mu się nie zupełnie udaje. Ale przedewszystkiem oglądamy cud zórz polarnych, które roztaczają się tu wśród nocy olbrzymim płaszczem światła i przepływają wibrując z jednego końca horyzontu na drugi. Za każdą wibracją zmienia się barwa zorzy, przechodząc kolejno wszystkie tony światła. Widok to zaiste wspaniały.

Zima pociąga za sobą inne jeszcze niedogodności i niebezpieczeństwa prócz ciemności. Nawalnice śnieżne, tak zwane *blizardy*, szaleją wówczas wściekle. Była raz zawieja trwająca 29 dni. Człowiek zaskoczony taką śnieżycą, traci najzupełniej możność oryentowania się i błądzi. Pewien górnik wyszedł raz wśród takiej burzy z domu po drzewo o jakie 50 metrów od chaty, znał doskonale miejscowość, był blisko domu, a mimo to nie mógł powrócić. Błądził kilka godzin, a wkońcu zmarł na śmierć, nie odnalazszy swej chaty.

W styczniu zazwyczaj śnieg leży na wysokości 2½ metra. Zasypuje też często domy powyżej dachów. Wychodząc z chaty, trzeba sobie torować drogę łopatą i powtarzać to codziennie, jeśli się nie chce być żywcem zamurowanym.

Krajobraz jest tu niesłychanie prosty. Roślinności żadnej, parę krzaczków i oto wszystko.

Lato jest oczywiście mniej zimne, termometr podnosi się na 11 stopni powyżej zera. Ciepłota ta nie wystarcza dla wyhodowania jarzyn lub owoców, sałata zaledwie udaje się chyba przy piecu, to też się bez niej obchodzimy.

Śnieg pada tu i w lecie, a 20 czerwca jeszcze cieśnina Berynga zavalona jest lodowcami. Lody na rzekach puszczają i powstaje kra. Nie można wtedy oczywiście puszczać się na lód saniami i chcąc się przepawić na drugi brzeg, skakać trzeba z kry na krę i to uważnie, aby nie stracić równowagi, gdyż prąd bywa wtedy bardzo gwałtowny, tak, że wpadłszy między kry, można być w jednej chwili zmiażdżonym.

W przeciwieństwie do zimy, w lecie panuje tu ciągły prawie dzień, tak, że nie wiadomo prawie kiedy się kłaść spać, a zwłaszcza kiedy dzieci do snu ułożyć. Fotografowałem raz słońce o samej północy, a było tak jasno, że góry leżące o 20 kilometrów, odbiły się dokładnie na kliszy. Niebo bywa wtedy zwykle zupełnie czerwone, a jeśli się patrzy na nie ze wzniesienia, lub pod pewnym kątem, staje się fioletowe lub prawie niebieskie.

Mimo, że w lecie temperatura jest łagodniejszą, Eskimosi nie lubią tej pory roku. W tym kraju lodowatym mnoży się jednak wówczas mnóstwo moskitów. Znoszą one jaja w mchu w sierpniu, przez zimę przechowuje je wybornie mróz, a w czerwcu wykłówiają się w wielkiej obfitości. Moskity te są bardzo zjadliwe i rzucają się zwłaszcza na psy, które trapią bez miłosierdzia, wysysając im krew z oczu. Ludzie muszą się także przed nimi bronić i dlatego udając się w podróż, trzeba koniecznie kłaść na twarz rodzaj zasłony. Przytem w lecie roztajały grunt staje się grzęzkim do 40 ctm. głębokości, tak, że niepodobna używać sanek. Pojmujecie więc, że gdy człowiek zmuszony jest wędrować pieszo, z kaplicą przenośną na grzbiecie, wolałby raczej mieć pod nogami śnieg i chłodniejszą temperaturę.

Mieszkańcy, religia, charakter. Teraz słówko o mieszkańcach tego smutnego kraju. Nad rzeką Yuką mieszka jeszcze w Alasce kilka plemion amerykańskich Indian. Dalej zaś na północy nad brzegiem morza Berynga i oceanu Lodowatego żyją już tylko Eskimosi, należący do rasy żółtej. Musieli oni przybyć tu niegdyś z Mongolii, w czasach gdy klimat w Alasce nie był jeszcze tak surowy. Zachowali też czysty typ mongolski, te same rysy, oczy w migdał wcięte, różnią się zaś od Chińczyków szczerym i pogodnym wyrazem twarzy. Skutkiem ostrego zimna skóra ich marszczy się wcześniej i już w dwudziestym piątym roku życia wyglądają staro. Prawda, że nie znają dokładnie własnego wieku, licząc lata swoje podług obrotu księżyca. To też jeśli się tu powie o 30-letniej kobiecie, że ma lat 60, nie obrazi się o to bynajmniej.

Eskimosi żyją rodami i najwyższą powagą jest dla nich władza ojca rodziny. Osady ich składają się z trzech do dziesięciu rodzin. Niekiedy któryś z rozumniejszych naczelników rodu nabiera większego wpływu, a wówczas kilka rodów uważa go za swego wodza. W moim okręgu mam 1.500 Eskimosów i 500 górników, poszukujących złota. Eskimosi mają wogóle dobry charakter, wierzą przytem w jedyne Boga, nieśmiertelność duszy i w szatana. Nie spełniają jednak żadnych obrządków, nie składają ofiar, a tylko noszą przy sobie małe figurki, mające ich bronić od złych czarów. Figurki te wyobrażają najczęściej rozmaite zwierzęta, pod których postacią miał się im ukazać szatan. Pod względem moralności mogą innym służyć za przykład, nie ma bowiem wśród nich wielożeństwa, rozwodu, kłamstwa, ani kradzieży. Nawrócenie ich nie kosztuje też tyle trudów, co innych pogan; wystarczy pouczyć ich o głównych prawdach naszej wiary. Był tylko misjonarz katolicki trafił do nich wpierw, niż protestancki.

Chaty Eskimosów budowane są częścią z desek, częścią zaś z ziemi i skóry fok. W oknach zamiast szyb rozpięte są błony z kiszek cieląt morskich, gdyż szkło jest tu wielką rzadkością. Z dachu opada zwykle na zewnątrz rodzaj rury, połączonej z piecem; rura ta służy psom za schronienie nocne. Wyjeżdżając z domu, Eskimos nie zamyka wcale swojej chaty, tak, że każdy może do niej wejść. Jest to ogólny zwyczaj, który pozwala nawet gościowi spożyć zapasy znajdujące się w chacie. Powinien tylko oczyścić po sobie naczynie (co zresztą zazwyczaj uskuteczniają psy, wylizując je) i przynieść nowego drzewa na opał w miejsce tego, które zużył. Chaty budowane całe z drzewa, są bardzo kosztowne, bo drzewo płaci się tu 250 franków za tonnę. Prawda, że przywozić je trzeba z odległości 5.000 kilometrów. W czasie zimowej pory żyje się tu prawie wyłącznie pod ziemią, co jest daleko oszczędniej. Mieszkanie takie urządzone jest w następujący sposób: Otwór w ziemi przykryty skórą fok, prowadzi

po drabinie do podziemnego korytarza, w którym pełzać prawie trzeba na czworakach. W korytarzu takim znajduje się kilkoro drzwi jedne za drugimi, dla lepszej ochrony od chłodu. Wreszcie wchodzi się do obszernej pieczary, wykutej w zamarzłej ziemi, a ogrzanej za pomocą oleju z foki. Ognisko to jest bardzo słabe, ciepła mało, natomiast bardzo dużo dymu. W takich to przybytkach zmuszony jestem nieraz odprawić Mszę św. Chłód nie pozwala na odprawienie Mszy św. w zwykłych chatach, to też często nie mogę jej wcale odprawić. W roku 1909 naprzykład od stycznia do lipca zmuszony byłem opuścić 55 Mszy św. Przy chłodach zimowych wino mszalne zamarza, a mimo, że mamy wszelkiego rodzaju dyspensy, są przecież warunki, przy których niepodobna jest odprawiać Mszy św. W czasie cieplejszej pory Eskimosi obozują pod namiotami ze skór.

Odzież. Jakże się ludzie ubierają w tym strasznym kraju, gdzie tak trudno jest zabezpieczyć się od chłodu. Narodowy strój, tak zwany *parkee*, stanowi koszula futrzana bez żadnego rozcięcia z przodu, ani z tyłu, zrobiona z futra renifera. Eskimosi noszą w zimie dwie takie koszule, jedną obróconą futrem do ciała, drugą włosom do wierzchu. Widziałem nawet koszule takie zrobione ze skór czarnych i białych kaczek. Nie są one, jak mówiłem wyżej, nigdzie rozcięte i opadają aż do kolan, u kobiet tylko dolna część jest trochę szerzej skrojona i rozcięta. Na głowie noszą Eskimosi kapiszony obramowany specjalnem futrem, zwanem *wolwerine*, którego włos ma tę cenną właściwość, że wcale nie przymarza. Jest to bardzo ważna zaleta, bo podróżując tu przy 40 lub 50 stopniach zimna, ma się zwykle na ustach i twarzy skorupę lodową, utworzoną przez oddech. Gdyby futro, otaczające twarz, przymarzło do takiej skorupy, możnaby je chyba zerwać razem ze skórą warg i twarzy. Mówiąc nawiasem, z tejże samej przyczyny nie nosimy wcale brody, którąby zresztą zaraz robactwo obsiadło. Jedyne szczegól stroju, odróżniający tu kapłana od świeckiej osoby, to kołnierz rzymski, którego nie zdejmujemy tu nigdy, chyba kładąc się do snu. A trzeba go bardzo oszczędzać, bo dla kupienia nowego, musiałoby się jechać 5.000 kilometrów drogi.

Ale wróćmy do kapiszona. Odrzucony na plecy, tworzy on rodzaj futrzanego kołnierza, dochodzącego do połowy twarzy. Wsunęty zaś na głowę, otacza ją całą aureolą futrzanych promieni, sterczących na 20 centymetrów wysoko. W dni bardzo mroźne można go spuścić niżej jeszcze i zawiązać pod brodą, tak, że widać będzie z pod niego tylko nos i oczy. Nogi zaopatrzane być muszą w buty ze skóry foczej, podwiązane rzemykami pod kolana. Nosimy też tu po trzy i cztery pary skarpetek, na które wkładamy jeszcze

bo inaczej pozagryzałyby się na śmierć. Widok krwi doprowadza je do szału. Pewne dziecko bawiło się z psami, które je doskonale znały, na nieszczęście jeden z nich udrapał je do krwi, skoro tylko zwęszyły krew, rzuciły się na biedactwo i zadusiły je w mgnieniu oka.

Za psy takie płaci się 250 — 500 fr. za sztukę. Robią one na godzinę 9 kilometrów, a 60 km. na dzień. Raz zdarzyło mi się ujechać nimi 83 km. w niespełną siedmiu godzinach, ale po takiej wycieczce trzeba dać

dobry wypoczynek swemu zaprzęgowi. Gdyby wśród zawiei śniegowej psy stanęły nagle zmęczone, nie pozostałoby nic, jak polecić duszę Bogu, bo śmierć pewna. Zaprzęgając psy, zaczynać trzeba od leadera, który nie dałby się nigdy ustawić na drugim miejscu. Zna swoją wartość, choć zapewne nie zna zapłaconej za siebie ceny, wynoszącej nieraz 2.500 franków *)

Skoro psy raz są zaprzężone, ruszają natychmiast z miejsca, nie czekając na rozkaz. Wyobrażacie sobie



AMERYKA PÓŁNOCNA. — KANADA. Wizyta biskupa Msgra Pascal'a u Indian w Saskaczewanie, na wyspie Kros; podł. fotogr.

zapewne, że sanie są na to, aby ludzie na nich siedzieli. Mylicie się, niestety. Siadać w saniach nie można, bo najpierw odmroziłoby się nogi, a potem, skoro by się przypadkiem wypadło z sań, psy nie raczyłyby się zatrzymać dla takiej drobnostki. Przytem łatwiej jest nimi kierować stojąc z tyłu za saniami; w tej więc postawie odbywa się zazwyczaj znaczna część podróży, i to najczęściej biegnąc. W ten sposób podróżuję i ja, robiąc przeciętnie 600 km. na miesiąc. Pomimo znacznego ciężaru zaprzęgu i sań, zdarzyło mi się parę razy spotkać w drodze z tak gwałtowną nawałnicą, że wicher rzucił nas w jednej chwili na bok, jak suchą gałąź, zaprząg, sanie i kierownika. Ale to jeszcze nic

Raz leader mój, *Spat*, uratował mi naprawdę życie, a przynajmniej Bóg użył zwierzęcia tego za narzędzie dla ocalenia mnie od śmierci. Taki leader obdarzony jest cudownym prawdziwie instynktem. Po sześciu tygodniach, ba nawet po sześciu miesiącach, pozna miejsce, przez które choć raz przechodził, a Bóg jeden wie, jak trudno tu oryentować się i jak rzadkie są miejsca, mogące służyć za drogowskaz. Niema tu przecież dróg żadnych ani ścieżek, wiecznie jednostajna biała przestrzeń, pokryta śniegiem.

*) Leaderem kieruje się tylko głosem nie zaś lejcami. Zwraca się on na prawo, na lewo, galopuje lub zatrzymuje się podług rozkazu. Psy biegnące za nim, naśladują we wszystkim jego ruchy.

Było to w czasie świąt Bożego Narodzenia 1908 r. Odprawiłem w jednym obozowisku Mszę Pasterską i zamierzałem udać się stamtąd do innej miejscowości, oddalanej o 115 kilometrów. Moi chrześcijanie odradzali mi tę wycieczkę, mówiąc: »Ojcie, pozostaniecie, pogoda niepewna.« Mimo to odjechałem. W drodze spotkała mnie straszna zawieja i zabłądziłem. Wicher był tak gwałtowny, że chcąc odetchnąć, odwracać musiałem głowę w przeciwnym kierunku. Śnieg zaproszył mi oczy tak, że nie mogłem prawie dostrzedz psów moich, biegnących na cztery metry przedemną, rzesy mi przymarzały. Co począć? Przypomniałem sobie, że gdzieś w tej okolicy znajduje się chatka, w której mógłbym znaleźć schronienie, ale jak do niej trafić? Na szczęście leader mój wpadł na tę samą myśl, i po dwugodzinnej walce z burzą, doprowadził mnie do owej chaty, którejbym sam nigdy nie znalazł. Schronienie się tam ocaliło mi życie. Prawda, że i ja z kolei ocaliłem życie mojemu leaderowi, który wpadł raz w szczelinę lodową na rzece, gdzie podziemne strumienie wody cieplej, podkopyują nieustannie lód. Wydobyłem ostrożnie biedne zwierzę, któreby inaczej zginęło. Męczącem jest także bardzo pragnienie, które dokucza nieustannie w czasie takich wycieczek. Mroźne powietrze wysusza niesłychanie płuca. Niebezpiecznie jest jednak pić lód i śnieg, bo to sprowadza gorączkę, trzeba więc czekać wieczornego noclegu, aby stopić lód na wodę.

Co warcą są tutejsi nasi chrześcijanie?

Alaska nie jest krajem, któryby dostarczał tysięcy neofitów i to już wiele, gdy uda się misjonarzowi ochrzcić 20 osób rocznie, z tego więc punktu widzenia nie ma się tu wiele pociech duchownych. O ile misjonarz katolicki przybędzie pierwszy do jakiejś miejscowości, nie natrafi na wielkie przeszkody, bo Eskimosi nawracają się chętnie. Jeżeli jednak poprzedził go już tam misjonarz protestancki, sprawa idzie daleko trudniej. Protestantcy pastrowie starają się przede wszystkim wszczepić w nawróconych następujące dwie zasady: 1) aby im tylko samym sprzedawali futra ze swych zwierząt; 2) aby mieli nienawiść do Kościoła katolickiego. Przytem wynagradzani są sownie. Taki pastor otrzymuje 750 franków miesięcznie, żona zaś 500 fr. Co do mnie, otrzymuję 1.500 fr. rocznie na utrzymanie misji mej i własne, a nawet moich psów, nie można twierdzić, żeby to było za wiele. Pocieszam się jednak myślą, że placówka ta jest konieczną dla rozszerzania królestwa Bożego, że jestem tu przedstawicielem Kościoła katolickiego, że pracuję wreszcie dla dobrej duszy, a to wszystko dodaje mi siły.

Przy udzielaniu Chrztu św. dorosłym, jestem zazwyczaj dość wymagający i przestrzegam ściśle, aby katechumen umiał opowiedzieć ważniejsze ustępy z katechizmu i odmówić pacierze, co daje rękojmię, że

posiada dość znacznie główne prawdy naszej wiary. Musiałem jednak raz okazać się pobłażliwszym dla pewnego 94-letniego starca, który przyjął Chrzest św. Od kąd został chrześcijaninem, powtarza wciąż jedną modlitwę: »O dobry Boże, ten i ten umarł — (tu wylicza rozmaite nazwiska) — a mnie, o Boże mój, pozwoliłeś żyć aż 94 lata, abym mógł przyjąć Chrzest św. Dzięki Ci za to.« Przypomnieć, że mało jest chrześcijan w Europie, którzyby dziękowali Bogu choć raz do roku za podobną łaskę.

Eskimosi słuchają uważnie Mszy św., w czasie której śpiewają głośno modlitwy przetłumaczone na ich język, naśladują też często ruchy kapłana. Pewnego razu gdy dawałem błogosławieństwo po Mszy św., dostrzegłem w głębi sali pocziwą staruszkę, która z całą powagą błogosławiła mnie nawzajem. Po Mszy św. dopiero pouczyłem ją, że kapłan katolicki dając przy Mszy św. błogosławieństwo, nie może go nawzajem otrzymywać. Eskimosi są bardzo dobrymi chrześcijanami. Przyjmują Komunię św., jak mogą najczęściej, a często chcą być sami misjonarzami. Jeden naprzykład, pochodzący z Syberyi, przeszedł cieśninę Berynga, nauczył się zasad wiary i dał się ochrzcić, potem zaś zażądał książki z katechizmem i powrócił do siebie, aby pouczyć i ochrzcić swoją starą matkę. Inni znów zbudowali u siebie kościół z własnego popędu w nadziei, że to nakłoni prefekta apostolskiego do przysłania im kapłana na pewną wyspę. Niestety, nie można było zadość uczynić ich pragnieniu. Wobec tego zbierają się sami co niedzielę w swoim kościele i modlą się tam wspólnie, wstrzymując się od jadła do godziny dziesiątej przed południem. Zapytani dlaczego tak robią, odpowiadają: »Nie możemy przyjąć Komunii św., więc chcemy przynajmniej postem uczcić Chrystusa Pana.«

Tak to ci ludzie doszli sami do pojęcia duchowej Komunii. To też co za rozpacz była dla nich a i dla mnie, gdy zmuszony byłem powrócić do Europy, nie zostawiając nikogo na swoim miejscu. Musiałem zamknąć chwilowo misję, przyrzekając im jednak, że powrócę do Marys Igloo zbuduję tam kościół i przywiozę księży, o ile znajdę.

Bez wątpienia pobyt w tej misji jest niesłychanie ciężki, bardzo rzadko miewa się tam wiadomości ze świata cywilizowanego, a natomiast skonać można prawie od głodu i chłodu, lub też być zatopionym. Żywność prawie niemożliwa, klimat ostry, ale nie to jest najgorszym. Prawdziwą boleść sprawia nam ta misja przez to, że widzimy ludzi wzywających kapłana, a nie możemy do nich pospieszyć. Znam na przykład obozowisko 2.000 Eskimosów, którzy już od trzech lat upominają się na próżno o misjonarza; co za połów dusz, gdyby udało się znaleźć odpowiedniego człowieka.

Gdy w zeszłym roku odwiedził mnie mój przełożony, O. prowincjał z Kanady, (przybyły tu, Bóg jeden wie, kosztem jakich trudów), przedstawił mu się jeden z wodzów eskimoskich. Ponieważ O. prowincjał nie zna miejscowego języka, służyłem więc im obu za tłumacza. Po wymianie kilku pytań, zauważyłem, że mój Eskimos powiedzieć chce coś jeszcze, ale nie śmie. Dodałem mu odwagi, a wówczas powiedział wreszcie bardzo zmieszany, że tam u niego, ludzie pragną kapłana. Gdybyście widzieli, z jakim wyrazem twarzy, jakim tonem, ten nowy chrześcijanin prosił o kapłana, bylibyście z pewnością, również jak ja, do łez poruszeni. To też wesprzyjcie nas modlitwami waszemi, aby Bóg zlitował się nad tymi biednymi Eskimosami, którzy tu na krańcach świata oczekują od 1900 lat na światło Ewangelii.

NOWA GWINEA HOLENDERSKA

przez O. Geurtiens'a, ze Zgrom. Najśw. Serca w Issudunie.

(Dokończenie).

IV.

Znaczenie postanowień krajowych.

Nasi nauczyciele krajowcy są dla nas nieocenioną pomocą, ich nauka to jakby nasze seminaryum. Czemże są właściwie ci nauczyciele krajowcy? Niech wam ten niby szumny tytuł zbyt nie imponuje. Panowie ci nie posiadają żadnego dyplomu ani patentu, są to poczciwi chłopcy, wybrani z pomiędzy naszych wiernych. W centralnej stacyi mają swoją szkołę jakby normalną, gdzie otrzymują wychowanie staranniejsze, a program nauk obejmuje katechizm, czytanie, pisanie i rachunki. Gdy doszli do takiej wprawy, że mogą nauczać młodszych, przechodzą egzamin przed przełożonym administracyi. Tak zdobywają swój *beslovi* — (zepsute słowo holenderskie »besluit«) — dekret. Jeżeli przytem posiadają dobrą wolę i charakter, są w stanie oddawać nam wielkie usługi, wpływając na swych rodaków, bo są z ich krwi i kości i z koloru ich skóry. Pojęcia i sposób zapamiętywania, oraz pragnienia, są na wysokości ich sposobu pojmowania rzeczy i ich dążeń. Dobrze wiedzą, w jaki sposób trafić do »papuasa« i jak jego twardą głowę czegośkolwiek nauczyć. Z góry posiadają ich zaufanie, gdy tymczasem my musimy się starać takowe dopiero pozyskiwać.

Tę wyższość »hodžia« czarny muzułmanin ma nad nami, a ponadto religia jego schlebia zmysłom, podnosi próżności przełożonych i zastosowuje się do najróżnorodniejszych zwyczajów. Cera jego ciemna i ta łatwość nagięcia się do wszystkiego i wszystkich, oto jego największa przewaga.

Z wielkim moim zadowoleniem spotkałem się z tem samem zdaniem w *Le Canoniste contemporain* z powodu krytyki książki świeżo wydanej w języku francuskim, p. t. »Misye katolickie na dalekim Wschodzie.« Uwagi te będą dla wielu Francuzów nie miłe, to też zadowolony byłem znalazłszy potwierdzenie myśli, które nam podsunęło doświadczenie zaczerpnięte w tu-tejszych krajach.

V.

Sposób robienia wyłomu.

Gdy próbujemy wejść w styczność z wioskami jeszcze pogańskimi, gdzie nas prawie nie znają, to nie zaczynamy od krzyża i kropidła, ale całkiem w inny sposób. Szukamy jednego lub dwóch krajowców zdolnych, wpływowych, przełożonego gminy lub znanego obywatela, zaprzyjaźnionego z rodzinami wioski, którą chcemy poznać, a dobrze wygadanego. Oto ten, który za nas z początku będzie działał, my się zrazu nie pokazujemy. Zaopatrujemy się natomiast w znaczną ilość tytoniu do żucia; oto pocisk, który daleko prędzej wyłom robi, niż cokolwiek innego, bo żując ten tytoń, rozwiązują się ludziom języki.

Nasz wysłaniec stara się w najlepszy sposób wywiązywać ze swego zadania, mówiąc o czasach »dawnych« — wstęp konieczny, gdy wszystko na wyspach Key rozstrzygało się łukiem, strzałą i lancą. Następnie przechodzi do czasów »dzisiejszych«, gdzie mowa gra główną rolę, wyciągając konieczny wniosek: »A więc rodzice mają obowiązek kształcić swe dzieci, aby później byli w możności bronić się wobec swych przeciwników, to jest *Companie* — rządu.«

Następnie wychwalają Kościół katolicki, jego wielkość i piękność, dalej szkoły, kościoły, Siostry zakonne, wszystko przechodząc po kolei.

Jak widzicie, rozpoczyna się wielkiem kołowaniem. Zwykle pierwsze takie odwiedziny pozostają bez rezultatu; ludzie jednak rozważają. Gdy pomiędzy nimi znajdzie się ojciec jakiejś rodziny dobrze usposobiony, a takie odwiedziny powtarzają się, to zdarza się, że nam powierzają dziecko do wychowania. Gdy się zaś natrafi czasem na nieprzychylnego, a we wsi wpływowego, to nasza praca na długi czas pozostanie bez skutku. Ci nawet, którzy się chcieli nawrócić, nie mają dość odwagi, aby się oprzeć trudnościom.

Nie pytajcie o następne powody i sposoby nawracania. Mogę tylko przedstawić, jak uprawiamy niwę Pańską, siejemy i podlewamy. To ludzka część pracy nad duszami i staramy się według sił naszych jak najlepiej ją wykonać. Ale jak Pan Bóg udziela wzrostu? Tego całkiem nie wiem. To sekret Bożej Opatrzności, a tam w górze niema dzienników, któreby o tem donosiły. Jednem słowem wiara, to dar Boży. Dlaczego ten lub ów zostaje katolikiem? Z jakich po-

wodów? Dlaczego inny upiera się przy pogaństwie? Oto tajemnice, których nikt rozwiązać nie potrafi. Tak w wiadomych nam okolicznościach przy nawracaniu, nie znamy nieraz wpływów, które dusze pobudzają.

Zbytecznem byłoby dodawać, że takie wycieczki nie są zwykle przyjemne. Przedewszystkiem brak podróźnemu tutaj koniecznych potrzeb. Droga zwykle odbywa się łodziami, morzem, nędzne ścieżki przez lasy są prawie nie do użycia. Wyprawy otwartemi

łodziami, szczególnie gdy trwają kilka dni, należą do najprzyjemniejszych rzeczy. Trzeba wszystko ze sobą zabrać, bo na jedną rzecz można tylko liczyć, to jest na dach nad głową, a jeżeli wypadkiem zastanie się coś do jedzenia, to szczególne szczęście.

Przypuśćmy, że już dojechałeś do miejsca upatrzonego; teraz przez cały czas twojego pobytu będziesz istotą ciekawości. Koło gapiów otoczy cię, którzy siedząc, stojąc lub leżąc, nie mają innego zajęcia, jak



NOWA GWINEA HOLENDERSKA. Las i pola uprawne; podług fotografii.

z otwartemi ustami, głupkowato, obserwować każdy twój ruch i wyjawiać półgłosem wzajemnie swe spostrzeżenia. Zwykle uwagi te nie są ciekawe, naprzykład: »Pan siedzi, pan stoi, ma pięć guzików u kaftana, czyś ślepy? Widzisz, że ma sześć, dostaniesz ospy, przecież ma tylko pięć i t. p.«

Przyznaję, że mnie to ogromnie męczy być nieustannie celem ciekawości murzynów, trzeba być jednak dobrej myśli, bo kto chce na wędkę ryby łowić, nie może rzucać rybom kamyczki jako pożywienie.

Kwestya nawracania, to nie rzecz osobista, to sprawa państwowa, która zależy od »najwyższych osób«. Jeżeli powiedzą: »Dobrze«, to się rzecz uda, jeżeli: »Nie«, to nic się nie zrobi.

Niektórzy protestanci tamują nasze działania, a że rząd w kwestyi wyznaniowej pozostawia zupełną wolność, my nie mamy siły przeciw podobnemu działaniu. Gdybyśmy ich nawet skarżyli, podwładni ich nie mieliby odwagi świadczyć przeciwko nim i sprawa byłaby przegrana.

Pierwszą naszą troską w nowej osadzie, to starać się wystawić chatę, któraby służyła za kaplicę, zarazem i za szkołę, i umieścić przy niej nauczyciela krajowca. Misyonarz często odwiedza taką nową stację, zwolna rozszerza koło wiadomości, a zyskując zaufanie, powoli rośnie gromada.

Te szczegóły objaśnią najlepiej sposoby, jakich używamy przy naszej pracy ewangelizacyjnej.

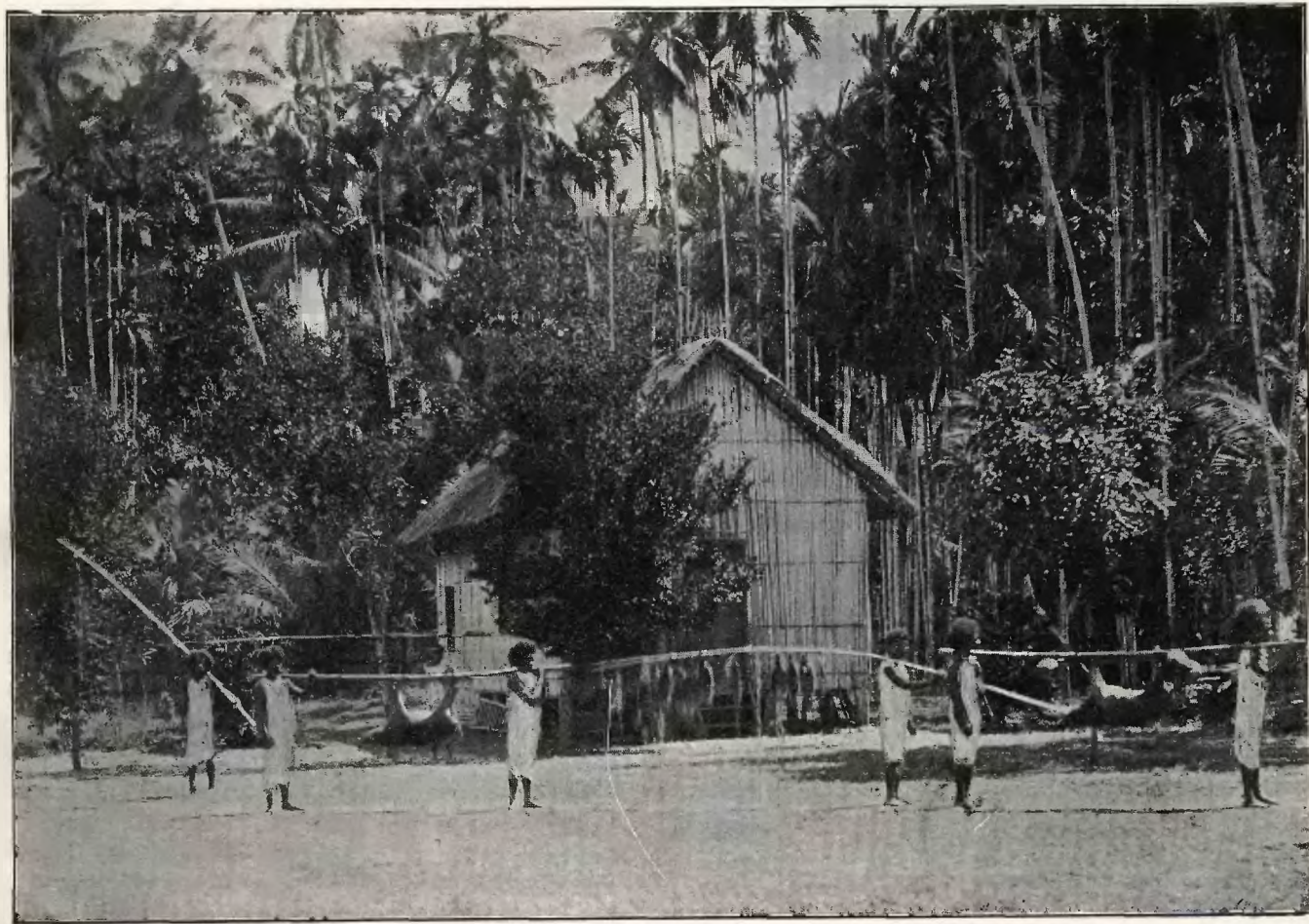
VI.

Wychowanie po udzieleniu Sakramentu Chrztu św.

Nie wystarczy ochrzcić, chrzest to tylko początek, większa część zaś jest jeszcze do zrobienia. Rzeczywiście trzeba starać się, aby zrobić z naszych neofitów dobrych chrześcijan, a jest to praca mozolna i powolna. Te dusze dzikie muszą się nagiąć do karności.

Nie łatwo znaleźć u tutejszych krajowców silną wolę, bo co dziś pragną, jutro odrzucają, aby nazajutrz znowu do tego powrócić. Wola u nich nie jest urobiona, działają pod chwilowem wrażeniem.

Następstwem tego jest zwyczaj kłamstwa. Przedstawiają rzeczy w sposób najodpowiedniejszy ich interesom i potrzebom, to też bardzo łatwo wyłapać ich na oszukaństwach. Żaden *Keyis* nie zawstydzi się,



NOWA GWINEA HOLENDRSKA. Papuasi niosą podarunki ślubne; podług fotografii.

myślą bowiem: »byłoby daleko większem głupstwem mówić rzeczy, któreby nam szkodzić mogły.« Zawsze mają na ustach przysięgi, zaklęcia na bóstwa, przekleństwa, aby potwierdzić najbardziej błahe rzeczy.

O odwadze *Keyisowie* pojęcia nie mają; mieć stracha, to nie jest żaden wstyd. Pomimo usilnych poszukiwań, nie potrafiłem odkryć w ich języku wyrazów na oznaczenie słów, jak: śmierć, niebezpieczeństwo, odwaga.

Nie znajduję dostatecznego bodźca, aby ich wyrwać z odrętwienia tak co do potrzeb ich życia, jak w jakimkolwiek pragnieniu ku postępowi moralnemu. W rzeczywistości hojną jest natura dla ludów zwrotni-

kowych, bo przy prawie żadnym wysiłku hojnie zaspokaja ich potrzeby. Tym sposobem nic je nie zmusza do pracy i do poprawy warunków bytu. Cały ustrój życia tych ludów potrzebuje zmiany.

Szkoła Sióstr i szkoła rzemiosł oddaje nam pod tym względem ogromne usługi. Uczęszczający uczą się tam pracować, dbać o ubranie, lepiej się żywić i t. p. Przedewszystkiem ciężko im przychodzi cośkolwiek zaoszczędzić. Za wielu z nich posiada chciwość tego zarobku, lecz prędzej wydają, co zarobili.

Cywilizacja musi równomiernie postępować z nawracaniem, a naturalne cnoty muszą przysposabiać wyłonienie się cnót chrześcijańskich.

NOWA GWINEA HOLENDERSKA.



Młody narzeczonny.

Keyis posiada naturalne przymioty, z których dobra wola i pojmowanie żywe a prędkie dają nadzieję, że kiedyś będzie z niego dobry chrześcijanin i człowiek hartu duszy, lecz trzeba wiele cierpliwości, wytrwałości, a w dodatku pomocy i współczucia przyjaciół misyj.

Nauczanie właściwe religijne natrafia tutaj na osobliwe trudności, które pochodzą przedewszystkiem z powodu języka, a w części z powodu usposobienia tutejszych ludzi.

Nie jest to tak łatwą rzeczą oswoić i poznać się z narzeczem jeszcze nie wyrobionem. Wolę o wiele uczyć się nie wiem jakiegobądź języka cywilizowanego, jak narzecza plemion dzikich. Wielka trudność zachodzi, ponieważ nie ma się żadnej pomocy, tylko własny słuch. Narzecze używane tutaj, ma pewne reguły, lecz żaden Keyis nie ma o nich najmniejszego pojęcia. Jedynie badaniami i pracami porównawczemi dochodzimy do odkrycia i ustalenia takowych. Wypracowałem już gramatykę dość obszerną, lecz sam pierwszy uznaję w niej wielkie braki i nawet może błędy.

Wiele czasu nie potrzeba, aby sobie przyswoić zapas językowy, potrzebny do rozmów potocznych, ale uchwycić wszelkie subtelności i ducha języka, to rzecz całkiem odmienna. A jednak jest to dla nas rzeczą bardzo ważną, bo gruntowna znajomość języka ułatwia nam wniknąć prędzej w tajniki i zwyczaje mieszkańców, a potem udzielić im naszych myśli i prawd wiary św.

To ostatnie jest najtrudniejsze, bo język miejscowy nie posiada całkiem wyrażenia dla oznaczenia myśli całkiem im obcych i Bóg jeden wie, czy takie u nich istnieją? Trzeba gruntownie znać język, jeżeli się chce urobić wyrażenia, które równocześnie oddają nowe pojęcia, a odpowiadają kształtowi i duchowi języka, aby krajowiec mógł uchwycić ważność rzeczy i takową zapamiętać.

W tem uważam główną trudność języka. Proszę nauczyć kogoś arytmetyki, kto nie zna liczb. Dopóki nie pojmie wartości tychże, to praca nadaremna. To samo położenie u nas; język religijny trzeba dopiero stworzyć. Nowe wyrazy muszą oddać nowe myśli.

Drugą trudność napotykamy także w sposobie myślenia krajowców.

Wobec cudownej natury żyją bez trosk i nie wysilają sobie mózgu w znalezieniu możliwie czegoś, aby powiększyć swoje wygody. Zasób ich myśli nie wychodzi poza granice ich ogródków, ich sieci do łowienia ryb i ich żon. W ich przemyśle ten ostatni towar jest chyba najważniejszy, bo ceny jego są najwyższe.

Czem się zajmowali przodkowie, to będzie Keyis robił i jego synowie i wnukowie nie inaczej. Nie przyjdzie mu na myśl cośkolwiek zmienić w codziennych zajęciach, byłoby to odstępstwo od tradycji, któreby mogło mieć poważne następstwa. I tak: łódzie używane na wybrzeżu są odmienne od tych z brzegu przeciwnego. Gdyby mieszkaniec wybrzeża zachodniego ośmielił się uważać za lepszego i naśladować wzór wschodni, byłoby to zbrodnią stanu wobec tradycji i nie pozostałoby bez kary. Nie jedna krwawa bójka miała za powód zmianę, czy ozdobę łodzi. Łatwo pojąć można, jak ten system powstrzymuje wszelki postęp. W tych warunkach nie może być mowy o rozwoju umysłowym.

Trudno uwierzyć, jak nie łatwo zaszczepić nowe pojęcia w te umysły przyzwyczajone do chodzenia utartą ścieżką życia całkiem ograniczonego. Sami ze siebie nigdy nie myśleli, tem mniej zastanawiali się. Religii trzeba dokładnie się uczyć, to wymaga pracy i zastanowienia. Szkoły mają ułatwiać nasze zadanie. Wprawdzie wiadomości, które miejscowi nauczyciele wpajają w swych uczni, nie są wielkie, lecz dzieci uczą się myśleć i wyrabiać swe władze umysłowe, tem łatwiej zakorzeniają się prawdy wiary.

Z tego wszystkiego wywnioskować łatwo, że nasze nauki katechizmu i nasze kazania nie bywają wygórowane. Nawet pierwsze prawdy muszą być podawane w sposób bardzo prosty. Trzeba je objaśniać przykładami i porównaniami z życia codziennego, z ich obyczajów i zwyczajów. Zwięzłość i jasność są podstawą wszelkiej nauki, bo mózgi ich nie są zdolne do większego i dłuższego wysiłku.

Oto tyle o teorii, co zaś do praktycznej strony religii wystarczają przykazania Boże i kościelne. Stowarzyszenia, nabożeństwa poszczególne i t. p., to odkładamy na później, najlepsze jednak nabożeństwo: to zachowanie ściśle dziesięciu Bożych przykazań.

Tych kilka pobieżnych uwag zajmą Was, mam nadzieję, oby nam zjednać potrafiły Waszą życzliwość i stałą pomoc. Materyalnie zależymy całkowicie od Waszego miłosierdzia, duchowo potrzebujemy jałmużny Waszych modlitw. Daj Boże, aby nam tak jednych, jak drugich nigdy nie brakło!

PIERWSZE 50-LECIE PAPIESKIEGO SEMINARYUM W ALBANI

i pobożne dzieła, którym zakład ten dał początek.

(Dokończenie).

III

Kongregacja pod wezwaniem Zwiastowania Najśw. Panny Maryi. Instytut św. Franciszka Ksawerego. — Nauka religii dla ubogich. Nabożeństwo do Matki Boskiej z Lourdes. — Oratorium Najśw. Serca Jezusowego.

O roku 1875 zaszedł ważny fakt założenia Kongregacji Zwiastowania Najśw. Panny Maryi. Instytucja ta założoną została głównie dla chłopców posługujących w sklepach, nie wyłączając jednak i innych członków. Działanie Kongregacji okazało się niezmiernie zbawiennem w swych skutkach, podnosząc i doskonaląc obyczaje, zachęcając do częstszych Komunii i do innych praktyk pobożności i miłosierdzia. Już w pierwszych ośmiu miesiącach istnienia Kongregacji osiągnięto owoce, jakich się czasem nie widzi nawet po kilku latach pracy.

Członkowie jej złożyli wkrótce najpiękniejsze dowody prawdziwej cnoty i pobożności, unikając sposobności do grzechu, wyznając dobrowolnie winy swoje i poddając się ochotnie nałożonej pokucie, nie zwracając wcale uwagi na drwiny i szyderstwa tych, którzy zniechęcić ich chcieli do praktyk pobożnych; ukazywali się w kościele i na procesji z medalami na szyi, służyli do Mszy św., uczyli dzieci katechizmu, a spełniając wiele tych samych posług co klerycy, towarzyszyli nawet pogrzebom, śpiewając psalm *Miserere*. Utworzyli też wkrótce mały chór i orkiestrę.

NOWA GWINEA HOLENDERSKA.



Stary Papuas trzymający fiaszkę z tykwy wysuszonej; podług rysunku z natury.

Dobro zdziałane przez nich, miało tem większe znaczenie, że starali się zjednać także innych, sprowadzając wielu na dobrą drogę namową i przykładem. Nie dziw też, że przy takim nastroju ducha wielu z nich stało się później członkami zakonów św. Franciszka i Ojców Towarzystwa Jezusowego, którzy robią tak wiele dobrego w naszym mieście.

Pierwsze lata istnienia Kongregacji były jej złotym okresem, później przyszły gorsze momenta, o których za długo byłoby opowiadać, te jednak minęły już na szczęście i dziś Kongregacja jest w zupełnie dobrym stanie i robi znów wiele dla spraw miłosierdzia, o czym będziemy mieli sposobność wspomnieć poniżej.

We dwa lata po założeniu Kongregacji powstał tu instytut św. Franciszka Ksawerego, zwany popularnie *kolegium*. Zakład ten połączony jest z seminaryum papieskiem i pozostaje pod zarządem tego samego rektora. Myśl założenia instytutu wyszła od kilku obywateli miasta Skutari, którzy chcieli dać synom swoim wykształcenie wyższe od tego, jakie otrzymać mogli w miejscowych szkołach ludowych. Panowie owi przyczynili się do kosztów utrzymania zakładu, a także

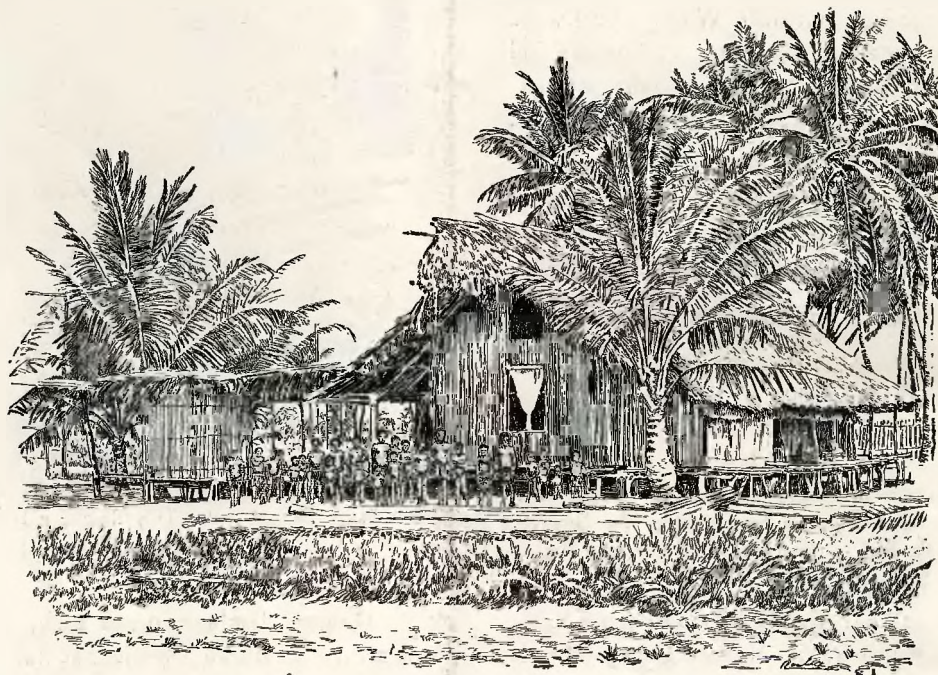
jeden z Ojców Jezuitów złożył na ten cel 22.000 franków z osobistego swego majątku. Z początku uczniowie płacili za naukę, później, dzięki szczodroliwej hojności rządu austriackiego, otwartą została szkoła ludowa, w której nauka udzielana jest zupełnie bezpłatnie, a uczniowie dostają jeszcze książki szkolne i materiały piśmienne na swój użytek.

Kolegium posiada własne muzeum i gabinet fizyczny, do których przybywają co roku nowe okazy, zakupywane kosztem rządu austriackiego. Uczniów uczęszczających do instytutu bywa nieraz przeszło 300, po przejściu zaś klas ludowych, wielu z nich wstępuje na kursa techniczno-handlowe, trwające tu lat sześć.

Co roku odbywa się publiczne rozdawanie nagród. OO. Jezuiti kierują szkołą, czuwają nad dziećmi cały prawie dzień, także i alumni z seminaryum biorą udział w nauczaniu ich i w rekreacjach. W tych warunkach uczniowie odnoszą prócz nauki ogromną korzyść duchową. Słuchają nauk i zaprawiają się w pobożnych i moralnych ćwiczeniach.

W roku 1887 zaprowadzono w szkole Kongregację Maryańską, w dziesięć lat zaś później Apostolstwo modlitwy; jedno i drugie przyjęły się tam bardzo dobrze, oddziaływując dodatnio na rozwój moralny dziecięcych duszyczek.

* * *



NOWA GWINEA HOLENDERSKA. Szkoła chłopców; rysunek podług fotografii. (Zob. str. 295).

Blisko w ośm lat po założeniu instytutu św. Franciszka Ksawerego, powstała w Skutari zupełnie innego rodzaju instytucja, bardzo jednak potrzebna i miła niezawodnie Bogu. Chcę mówić o nauce religii dla ubogich miasta i okolicznych gór. Opowiadają, że piękna ta myśl zrodziła się po raz pierwszy w sercu Ojca rektora, gdy wyszedłszy w pewną wielkopostną sobotę (1885 r.) przed bramę domu kolegium, ujrzał tam gromadę ubogich, oczekujących na zwykłą tygodniową jałmużnę. „Dlaczegoż byśmy nie mieli zaopatrzeć także tych biedaków w posiłek duchowy” — rzekł do swego towarzysza. W następną już sobotę zabrano się do dzieła, a skutek był taki, że wszyscy ci biedni ludzie odbyli później spowiedź wielkanocną z przejęciem i pobożnością, o jakich wprawdzie nie mieli wyobrażenia. Niektórzy z nich zupełnie już dojrzali, przystąpili wtedy po raz pierwszy do Stołu Pańskiego.

Że zaś człowiek składa się z duszy i ciała, urządzono dla nich po ukończonem nabożeństwie przyjęcie (pilaf), składające się z chleba, ryb i suszonych owoców. W uczcie tej brało udział przeszło 200 biedaków. Od tego czasu nauka biednych odbywa się regularnie co tydzień, prócz tego zaś urządza się dla nich niekiedy trzydniowe nauczanie, a co pewien czas przygotowanie do wspólnej Komunii, po której otrzymują obfitszą jałmużnę.

W tymże 1885 r. Ojciec rektor pragnąc uprosić sobie u Boga pewną łaskę, ślubował, że w razie gdy ją otrzyma, pracować będzie nad rozpowszechnieniem, w miarę możliwości, nabożeństwa do Matki Boskiej z Lourdes. Łaski tej nie otrzymał wprawdzie Ojciec rektor, ale natomiast spadła nań inna, mająca tenże sam skutek, a nawet znaczniejsza. Wobec tego czuł się Ojciec rektor zobowiązanym do spełnienia swego ślubu.

Taki jest początek wielkiego nabożeństwa do Matki Boskiej z Lourdes, które kwitnie dziś wśród członków seminaryum. W tymże 1885 roku zbudowaną została grotta Lourdes na dziedzińcu seminaryum, a druga, piękniejsza jeszcze, ustawioną została w kościele 1891 r., z nią zaś osobna kaplica z ołtarzem i statua Matki Boskiej.

Wydano też po albańsku książeczkę o tem nabożeństwie i rozdano wielką ilość medalików. Prawdziwa woda z Lourdes sprowadzana umyślnie z Francyi, rozdawaną bywa wiernym w nagłych potrzebach.

Mówiliśmy już powyżej, że nauka katechizmu w katedrze nie powiodła się, i że musiano z tego powodu przenieść ją znów do gmachu seminaryum. To właśnie niepowodzenie dało początek powstaniu oratoryum.

Umieszczono je z początku w instytucie św. Franciszka Ksawerego, ale była to raczej próba, gdyż pomieszczenie to okazało się niedogodnem. To też w rok później, t. j. w r. 1886, Ojciec rektor chcąc okazać Panu wdzięczność za cudowne ugaszenie niebezpiecznego pożaru, który wybuchł w zakrystyi, założył właściwe



NOWA GWINEA HOLENDERSKA. Wśród wioski Papuasów.

oratoryum w małym domku, który wynajął z przynależnym do niego dziedzińcem. Stamtąd to przeniesiono następnie oratoryum tam, gdzie się obecnie znajduje, a z czasem dodano doń obszerne dziedzińce, służące dzieciom do gier i przechadzek. Dzieło to, które kosztowało i kosztuje dużo trudów i wydatków, daje za to wspaniałe wyniki. Oddane jest ono także pod opiekę Serca Jezusowego. Dzieci zwabione rozrywką i nagrodami, które otrzymują za dobrą naukę, są tu zaprawiane do prawdziwej pobożności i zaznajamiają się gruntownie z zasadami religii chrześcijańskiej. Nie jedno już kapłańskie lub zakonne powołanie wzięło początek z oratoryum, wielu też uczniów zapisało się do Kongregacyi Zwiastowania, a za ich pośrednictwem spodziewają się dobrzy Ojcowie oddziaływać zbawiennie na

ogólny stan obyczajów. Zakład ma jeszcze to znaczenie, że klerycy, którzy pomagają w nauce dzieci, mają sposobność ćwiczenia się w praktykach przyszłego swego zawodu.

IV.

Misya przenośna. — Szpital Towarzystwa św. Józefa. — Posłaniec Serca Pana Jezusa. — Stowarzyszenie matek chrześcijańskich. — Ostatnie lata 1893—1910.

W r. 1888 powstała tak zwana misya przenośna, założona przez OO. Jezuitów, kierujących papieskiem seminaryum. Z tego też powodu instytucja ta, mimo że stanowi osobny dom, uważaną być może za dzieło stworzone przez wyżej wspomniane kolegium. Zbawienna działalność tej misyi zbyt jest znaną, abyśmy się tu potrzebowali szeroko o niej rozpisywać. Dość

jest wspomnieć, że należący do niej Ojcowie misyonarze Towarzystwa Jezusowego, dzięki niezmordowanym trudom i wysiłkom, połączonym nieraz z niebezpieczeństwem życia, stali się skuteczną zaporą przeciw niebezpieczeństwu nowych odstępstw od Chrystusa. Przebiegając wśród ludów pogrążonych często w wielkiej nieświadomości prawd naszej wiary, przywracali w wielu miejscach straszliwie zaniedbany kult zewnętrzny, powściągli nadużycia, łagodzili spory, słowem *pertransierunt beneficiendo*. A jeśli pomimo to, skutkiem niepomyślnych warunków, położenie w Albanii bywa i dziś jeszcze bardzo ciężkie, to byłoby ono z pewnością jeszcze gorszym, gdyby nie istnienie misyj przenośnych. Głównym organizatorem tej misji i niezmordowanym takim misyonarzem przez lat dwadzieścia w Albanii był O. Dominik Pasi T. J., obecnie prowincjał OO. Jezuitów weneckiej prowincji.

Należy tu jeszcze dodać, że Ojcowie misyonarze, o ile przebywają chwilowo w Skutari, spełniają tam również rozliczne czynności kapłańskie: słuchając spowiedzi, przemawiając z kazalnicy, odwiedzając chorych, przysposabiając prace do druku, odprowadzając Msze św. i odwiedzając chorych po domach i szpitalach.

O szpitalach tych mówić tu będziemy jeszcze poniżej.

* * *

Gdy w r. 1890 powstał w Skutari szpital, utrzymywany tam obecnie kosztem rządu austriackiego, OO. Jezuitów brali czynny udział w jego założeniu, zbierając ofiary na rzecz tego dobroczynnego zakładu i robiąc zabiegi o dostarczenie mu odpowiednio przygotowanego personelu. Towarzystwo Zwiastowania ofiarowało szpitalowi dom, w którym mieszkają obecnie obsługujące go Siostry.

W tymże 1890 r. założonem zostało za inicjatywą i staraniem tychże Ojców, dobroczynne Towarzystwo św. Józefa, które wzięło sobie za zadanie wspomaganie ubogich przez dostarczanie im chleba, odzieży, bielizny i opłacanie za nich czynszu za mieszkanie. Towarzystwo to rozwija się bardzo pomyślnie i popierane jest przez wielu obywateli miasta, jako też przez niektórych konsulów i urzędników z konsulatu. Wśród członków czynnych znajduje się wielu dawnych wychowanków instytutu św. Franciszka Ksawerego, którzy zbierając się w gmachu seminaryum dla omawiania spraw Towarzystwa, odnawiają w ten sposób wzajemne koleżeńskie stosunki i utrzymują łączność z dawnymi wychowawcami.

* * *

W r. 1891 wychodzić zaczęło w drukarni seminaryum pismo miesięczne p. t. *Elcija*, czyli »Posłaniec

Serca Jezusowego«. Rozmiary tego pisma były z początku bardzo skromne, bo składało się ono w chwili powstania zaledwie z czterech stron, których liczba wzrosła wkrótce do szesnastu stron. W r. 1908 rozszerzono jeszcze bardziej wydawnictwo, dodając drugą część, złożoną również z szesnastu stron, zawierających artykuły literackie i naukowe.

Rozwijające się tu pomyślnie Stowarzyszenie matek chrześcijańskich, którego zadaniem jest dobre wychowanie dzieci, obrało dla swych praktyk pobożnych kościół seminaryjny, w którym odbywa się co miesiąc osobne dla nich nabożeństwo połączone z odpowiednią nauką.

* * *

Po założeniu tylu zbawiennych i pożytecznych instytucyj, praca lat ostatnich skierowaną być musiała raczej do ugruntowania istniejących już Zakładów i Stowarzyszeń, niż do wprowadzania w życie nowych. Wszakże i w tym ostatnim okresie nie zaniedbywano zmian i ulepszeń, które przyczynić się mogły do podniesienia poziomu moralnego i ducha pobożności. Za jedno z najważniejszych i najskuteczniej oddziałujących uważać należy stosowanie dekretu o częstej Komunii św., wydanego w r. 1906 przez Ojca św. Pod wpływem tego rozporządzenia klerycy seminaryum, którzy przystępowali dawniej do Stołu Pańskiego zaledwie dwa razy na tydzień, zaczęli przyjmować codziennie św. Eucharystię. Pobożny ten zwyczaj przyjęła także znaczna część eksternistów, a i wśród małych uczniów instytutu nie rzadko spotyka się nabożnych chłopców przystępujących codziennie do Komunii świętej.

W r. 1893 kościół seminaryjny przyozdobiony został bardzo piękną statua Matki Bożej z Karmelu, pod której wezwaniem zawieszono osobne bractwo. Święto tej *Madonny* obchodzi się z wielką uroczystością i przy ogromnym napływie ludu, który ma do Niej wielkie nabożeństwo.

W tymże 1893 roku Ojcowie z seminaryum widzieli po raz pierwszy jednego ze swych dawnych alumnów wyniesionego do godności biskupa, był to Monsinior Pasquale Trokshi, arcybiskup Skopii. Trzej jeszcze inni wychowankowie kolegium zostali także w tym okresie dygnitarzami Kościoła, a byli to: Monsinior Primo Bianchi, arcybiskup Durazzo, konsekrowany w r. 1893, Msgr Lazzaro Miedia, biskup Sappii, obecnie zaś arcybiskup koadjutor Skutari, konsekrowany w roku 1901 i Msgr Jakób Sereggi, biskup Sappy, konsekrowany w r. 1905. Obecnie wszyscy prawie księża albańscy są byłymi wychowankami seminaryum papieskiego w Skutari.

W r. 1899 poniosło seminaryum niepowetowaną stratę przez śmierć O. Jungga, który przez ciąg trzy-

dziesięciokilkuletniej swej pracy położył tak wielkie zasługi dla zakładu, iż pamięć jego uczczoną została pomnikiem. Żywot tego gorliwego pracownika opowiedziany został w osobnej książce, ogłoszonej w dwóch językach: albańskim i włoskim.

W r. 1905 Skutari nawiedzone było trzęsieniem ziemi, przy którym ucierpiały także znacznie mury seminaryum. Na szczęście nikt nie zginął, ani też nie był rannym. Dwoje tylko dzieci szkolnych zginęło dnia tego w mieście, oddając Bogu niewinne duszyczki. Szkody, jakie zrządziło trzęsienie ziemi, naprawione zostały szybko, dzięki złożonym na ten cel hojnym ofiarom, a przy tej sposobności rozszerzono nawet i przebudowano instytut św. Franciszka Ksawerego.

W r. 1907 powstał przy Kongregacji Zwiastowania nowy związek, mający na celu popieranie tak koniecznej w naszych czasach dobrej prasy i wspomaganie biednych. Związek ten nazwany *Vepra Pyore*, od imienia dostojnie nam dziś panującego Ojca św., przyjmuje członków także z poza obrębu Kongregacji.

Wreszcie w r. 1908 założonym został miejscowy Związek apostolski duchowieństwa szkolnego, popierany życzliwie przez JE. X. Arcybiskupa. Przewodniczącym Związku został także jeden z OO. Jezuitów, pracujących w centralnem seminaryum albańskiem.

W tymże 1908 r. odbyły się w kolegium solenne uroczystości dla uczczenia kapłańskiego jubileuszu Jego Świątobliwości Papieża Piusa X.

Członkowie tego seminaryum, pozostającego od początków już swoich pod szczególną opieką Stolicy apostolskiej, żywili też dla niej szczególniejszą cześć i miłość, wzamian też doznawali oni i doznają licznych dowodów łaski i życzliwości ze strony panującego nam dziś Ojca św., o czym świadczą trzy własnoręczne Jego pisma, przechowywane w zakładzie w wielkiej czci i poważaniu.

Jubileuszowe te uroczystości zamykają niejako 50-letni okres działalności albańskiego seminaryum papińskiego, którego dzieje staraliśmy się tu w krótkości skreślić, uwzględniając nietylko pracę jego nad wychowaniem duchowieństwa, ale i współdziałanie w moralnem i społecznem życiu Albanii, zataczające, jak widzimy, coraz to szersze kręgi.

Wikaryat apostolski w Cze-Kiang.

Najprzew. X. Biskup Reynaud C. M., mieszkający w Ning-Po w Chinach, przysłał nam przez WW. XX. Misyjonarzy następujące krótkie a wymowne sprawozdanie z owoców prac swoich kapłanów z ubiegłego dziesięciolecia. Oto co pisze:

Załączona tu tabela porównawcza podaje w cyfrach ważniejsze wyniki prac dokonanych przez księży

misyjonarzy w misji Cze-Kiang między r. 1896 a 1906, to jest w przeciągu dziesięciu lat.

	r. 1896	r. 1906
Chrześcijan	10.419	23.618
Chrztańców dorosłych osób	406	2.014
Gmin chrześcijańskich	160	309
Misyjonarzy europejskich	13	30
Księża krajowców	13	17
Kleryków większego seminaryum	6	21
Kleryków mniejszego seminaryum	42	50
Katechistów i kaznodziei	78	267
Szkół chłopców i dziewcząt	41	130
Uczniów	1.258	2.824
Spowiedzi	25 229	53.954
Komunii	33.550	74.702
Pogańskie dzieci ochrzczone przy zgonie	3.074	6.723

Ogólny rzut oka.

Skoro dziecię rośnie, rodzice fotografują je co pewien czas, chcąc przekonać się, w jakim stopniu postępuje rozwój jego w danym okresie.

Podobną metodę zastosowałem do misji naszej w Cze-Kiang, zestawiając tabelę porównawczą, która daje wyobrażenie o rozwoju jej w ciągu lat dziesięciu. Te dwie kolumny cyfr, to jakby dwie fotografie misji odbite w różnych czasach; przejrzawszy je uważnie, przekonać się możemy, że rozwinęła się ona i zwiększyła przeszło w dwójnasób w ciągu tego dziesięcioletniego okresu. Nie jest to więc, jak z tego widzimy, ziemia niewdzięczna, któraby pochłaniała napróżno zraszący ją krwawy pot trudów misyonarzy i dary ofiarodawców. Owszem, wydaje ona corocznie bogate żniwo dusz, obfite owoce zbawienia, ale plony te zwiększyłyby się stokrotnie i zajęłyby daleko większe obszary gdybyśmy mieli więcej żniwiarzy, to jest większą liczbę misyonarzy.

Największą więc troską obecnej chwili jest potrzeba pozyskania nowych pracowników tak misyonarzy europejskich, jak i księży krajowców. Działanie tych ostatnich jest może najskuteczniejsze, tembardziej, że coraz mniej misyonarzy przybywa nam teraz z Europy. Staramy się więc, o ile możliwości, popierać powołanie do stanu kapłańskiego wśród dzieci tego kraju, który wydał już tylu wyznawców i męczenników za wiarę. Słowem wzięliśmy sobie za zadanie popieranie i kształcenie miejscowego duchowieństwa chińskiego.

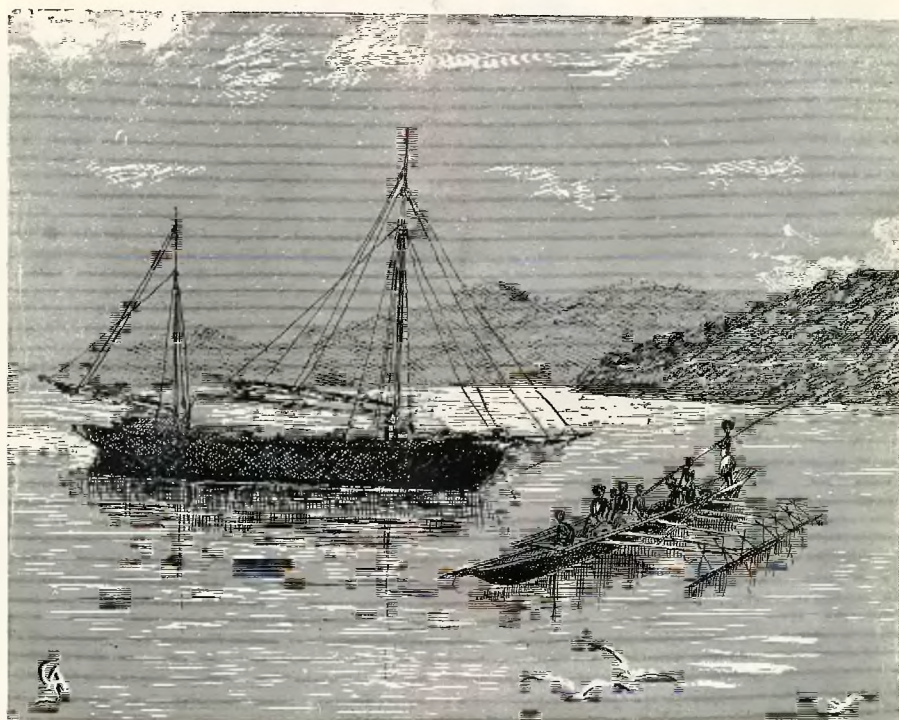
Nie chodzi tu więc o nowe gmachy i budynki, lecz o dusze i o pasterzy dusz. Dać dobrych kapłanów chrześcijańskiej ludności, jest chyba najwznioślejszem i najważniejszym zadaniem. Zapewne, że i inne dzieła miłosierdzia zasługują także na poparcie, ale czemżeby one były, gdyby im zabrakło kapłana, który jest zazwyczaj duszą ich i podporą.

Wiem, że położenie obecne jest tak ciężkie, iż żądanie nowej pomocy i zasiłków jest wielką śmiałością z mej strony, ale na usprawiedliwienie swoje mam nagłący niedostatek, który nas uciska.

Szkoła przygotowawcza.

Zadaniem szkoły przygotowawczej jest dostarczenie małemu seminaryum odpowiednio przysposobionych kandydatów. Wybiera się ich z pomiędzy najlepszych uczniów, którzy przechodzą w szkole systematyczne kursa wstępne.

W czasie misyjnych swych wycieczek spotykają nieraz misjonarze młodych chrześcijan, pragnących poświęcić się na stałe służbie Bożej. Usłyszawszy o takim powołaniu, misjonarz nie zrazu nie odpowiada, modli się tylko, zastanawia obserwując w milczeniu kandydatów. Gdy dostrzeże w nich oznaki szczerzego powołania, wysyła ich do szkoły przygotowawczej w Ning-Po, wybierając przeważnie synów dawnych rodzin chrześcijańskich, wśród których wiara i obyczaje naszej religii głębiej są zakorzenione. Tam uczniowie poddani są dwuletniej lub trzyletniej próbie,



NOWA GWINEA HOLENDERSKA. Dawna i nowa łódź; rysunek podług fotografii.

w czasie której profesorowie poznają bliżej ich charakter i rozpoczynają odpowiednie kształtowanie ich umysłów. Uczniowie szkoły przygotowawczej uczą się przede wszystkim dokładnie języka i literatury chińskiej, aby nie stać pod tym względem niżej od krajowych uczonych. Prócz tego wykłada się im pierwsze zasady łaciny, geografii, arytmetyki, nie zaniedbując oczywiście nauki religii. W ten sposób uczynić możemy dobry i pewny wybór, posyłając do seminaryum kleryków o zdecydowanym powołaniu.

Rodziny chińskie, które powierzają nam swoje dzieci, nie łożą wcale na ich utrzymanie, sądząc, że i tak poniosły dostateczną ofiarę, poświęcając synów swych służbie Bożej. Wiele z nich zresztą nie byłoby w możności uiszczać za dzieci jakiegokolwiek opłaty. A że młodzi kandydaci przeznaczeni są w przyszłości

na służbę w misyi, misya utrzymuje ich własnym kosztem, łożąc po 100 fr. rocznie na każdego ucznia.

Roczny wydatek 100 fr. — Fundacya 1.200 fr.

Małe seminaryum.

Od roku 1854 małe seminaryum św. Wincentego à Paulo mieści się na wielkiej wyspie archipelagu Czu-San (Chusan) przy ujściu Błękitnej rzeki. Pod względem piękności krajobrazu i swobody przechadzek, nie można wymarzyć sobie miłszego i więcej uroczego ustronia. Ludność łagodna jest i sympatyczna, okolica spokojna i wolna od zaburzeń.

Do tej to oazy położonej u stóp gór i nieopodal morza, posyłamy gromadki młodych kandydatów ze szkoły przygotowawczej. Wszystko tam zmierza do utworzenia z nich dobrych i pobożnych seminarzystów.



CHINY. XX. Lazaryści ze swymi wychowankami w misyi wikaryatu apostołskiego w Cze-Kiang; podług fotografii z r. 1910.

Niczego chyba nie zaniedbano, aby doprowadzić ich do tego celu. Przechodzą tam zwyczajne kursa łacińskie i słuchają wykładów religii i wszelkich innych nauk. Dzięki przedwstępnemu wykształceniu, jakie otrzymali w szkole przygotowawczej, ukończyć mogą nauki w ciągu lat pięciu. W ciągu rekreacji bawią się w gry z takim ożywieniem, że trudno wówczas poznać w nich owych skupionych i poważnych młodzieńców, jakimi są w sali szkolnej lub w kościele.

Oficerowie marynarki bawiący w tych stronach, znają prawie wszyscy nasze wyspiarskie seminaryum św. Wincentego a Paulo, które jest ulubionym celem ich przechadzek. Zabawiają się często chętnie z naszymi klerykami, porozumiewając się z nimi cokolwiek kuchenną łaciną, a w grach sportowych bywają często przez nich pokonani. Pewien admirał, który nas kiedyś odwiedził, a którego miałem za człowieka niewzruszonego spokoju, nie mógł się od łez wstrzymać, gdy mu orkiestra naszych chłopców zagrała niespodzianie jego pieśni narodowe.

Jedyną ujemną stroną tego zakładu są koszty, jakich się domaga, gdyż na utrzymanie każdego klerykałożyć musimy 150 franków rocznie.

Roczny wydatek 150 fr. — Fundacya 1.900 fr.

Większe seminaryum.

Nigdy jeszcze, odkąd misya istnieje, grono kleryków naszych nie było tak liczne, jak obecnie. Jest ich w wielkiem seminaryum 21, podzielonych na trzy kursa, a było ich wprawdzie 23, ale, niestety, dwóch z nich powołał Bóg do siebie.

Objawem bardziej jeszcze pocieszającym od tego wzrostu ich liczby, jest podniosły nastrój, jaki wśród nich panuje. Wszyscy bez wyjątku pracują z równym zapałem nad sobą i doskonalią się w nauce i pobożności, chcąc zostać wzorowymi kapłanami dla tych tysięcy dusz, które na nich czekają. Oprócz nauki pobieranej w seminaryum, obejmującej wszystkie gałęzie wiedzy duchownej, klerycy nasi wykładają sami katechizm sierotom, katechumenom, starcom ze szpitala i dzieciom szkolnym.

Uczniowie pierwszego kursu, którzy mają zostać subdyakonami, spędzają zazwyczaj poprzednio rok cały poza zakładem jako pomocnicy misjonarzy. Zaprawiają się w ten sposób do przyszłej pracy, a wtajemniczając się w ważniejsze zadania misyi, próbują niejako sił swoich. Jest to dla nich jakby pierwsze pole bitwy, z którego przynoszą najczęściej chlubne świadectwa, wróżące dobrze o ich męstwie.

Gdy patrzę na nich jak klęczą przed ołtarzem w swych białych komzach, gdy słyszę nabożne ich głosy śpiewające modlitwy na cześć Pana, myślę w rozrzewnieniu, że nie wielu biskupów cieszyć się może tak pokrzepiającem wrażeniem.

I marzę o tem, co zdziałają w przyszłości, co zdziałać mogą; umieszczam ich w myśli wszędzie, gdzie jest coś do zrobienia, gdzie są dusze potrzebujące starań. Ale wówczas zdaję sobie dopiero sprawę, jak nieznaczna jest ich liczba wobec istotnych potrzeb naszych. Niezbędnychby tu ich było przynajmniej 72, to jest aby wypadł jeden na każdą podprefekturę i przeciętnie na 270.000 pogan. Gdzie i jak znaleźć tylu pracowników? Zresztą znaleźć byłoby może łatwiej, ale jak ich utrzymać? skoro i na tych nie wystarczają nasze środki, mimo że utrzymanie każdego z nich nie wynosi więcej jak 200 franków.

Roczny wydatek 200 fr. — Fundacya 2.500 fr.

Księża krajowcy.

Największą radością jakiej doznałem w czasie 22-letniej mojej działalności jako biskup i misjonarz, było niewątpliwie wyświęcenie 19 księży krajowców. Niestety, pięciu już z pośród nich śmierć zabrała, a najmłodszy poniósł śmierć męczeńską jak żołnierz na stanowisku.

Księża krajowcy są dla nas szacownymi i niezbędnymi pomocnikami: szacownymi, bo praca ich kapłańska przynosi ważne owoce, a niezbędnymi, bo rozumiejąc lepiej od Europejczyków języki i obyczaje miejscowe, zdają sobie lepiej sprawę z usposobienia swych współziomków, znają dążenia ich i przesady, zalety i wady.

Taka znajomość stosunków przynosi ogromne korzyści przy ogólnym kierownictwie wikaryatu, ułatwiając postęp religii i omijanie rozmaitych przeszkód i trudności.

Gdybyśmy też chcieli obchodzić się bez pomocy kapłanów krajowych, skazałibyśmy się tem samem na zupełną prawie bezsilność. Są oni cennymi pośrednikami i niejako spajającym ogniwem pomiędzy nami a ludem miejscowym, który zwraca się do nich chętniej, aby następnie za ich pośrednictwem i z nami się zrozumieć. Oni aklimatyzują niejako religię chrześcijańską w tym kraju tak nieufnym, a nawet niechętnym wszystkiemu, co przychodzi z zagranicy.

To też ośmielony słowami zachęty otrzymanem od Ojca św. i pomyślnym wynikiem dotychczasowych doświadczeń, służyć będę, jak sądzę, najskuteczniej interesom misyi, gdy nie szczędząc trudów i wysiłków postaram się zjednać jak największą ilość chińskich kleryków.

Zakłady wychowawcze, o których powyżej wspomniałem, udzielać im mogą odpowiedniego wykształcenia, ćwicząc ich w cnotach i naukach duchownych. Powierzam też kierownictwo tych zakładów najlepszym naszym misjonarzom, w przekonaniu, że przysporzenie dobrych kapłanów to zbawienie tysięcy dusz, skazanych inaczej na niechybną zagładę.

Popieranie sprawy tej najważniejszej i najdonioślejszej w skutkach, będzie niewątpliwie ogromną zasługą tych, którzy się do niej zechcą przyczynić. Ale też i koszta są tu znaczniejsze:

Wydatek roczny 500 fr. — Fundacya 6.000 fr.

Unia Kościołów.

Kościół grecki przebywa w chwili obecnej poważne przesilenie. Ustawa o Kościołach spornych, uchwalona przez parlament ottomański na korzyść egzarchistów bułgarskich, pod naciskiem, jak mówią, Rosyi — wywołała już zatarg pomiędzy patriarchatem powszechnym a rządem, a zatarg ten, o ile się temu nie uda wcześniej zapobiedz, przybrać może poważne bardzo rozmiary.

Nie byłoby wygodnem dla młodotureckiego rządu mieć w łonie państwa kilka milionów malkontentów i widzieć narodowe i religijne centra społeczeństwa greckiego okryte żałobą, a życie ich religijne w zawieszeniu. Niektórzy publicyści poruszyli przy tej sposobności kwestyę zjednoczenia Kościołów i proponowali dyzunitom greckim zjednoczenie z Rzymem jako najskuteczniejszy sposób wydobywania ich z odosobnienia w jakim się teraz znajdują i obrony interesów ich przeciw wrogom narodowości ich i Kościoła. Ale Grecy nie wierzą w skuteczność tego środka i mówią chętniej o unii z Kościołem anglikańskim, w nadziei, że Wielka Brytania nie zawaha się oddać na usługi interesów greckich całej potęgi, jaką rozporządza, w razie gdyby zjednoczenie dwóch Kościołów doszło istotnie do skutku.

Jest to prawdziwie rzecz pożałowania godna, że tam, gdzie chodzi o wielką i Boską sprawę zjednoczenia chrześcijańskiego, wysuwają się na pierwszy plan interesa polityczne. Bezwątpienia, ludy i przedstawiciele ich mają obowiązek troszczenia się o materialne swe interesa. Każdy naród ma prawo do życia i każdy dbać powinien o zapewnienie sobie godziwymi środkami wolności i warunków swobodnego rozwoju swego dobrobytu. Ale od tego daleko jeszcze do zepchnięcia religii na podrzędne stanowisko czynnika politycznego, lub do uczynienia z niej narzędzia, mającego służyć jedynie do podniesienia dobrobytu materialnego.

Religia chrześcijańska, Kościół chrześcijański, założone przez Chrystusa, jedne są i niepodzielne, jak jednym jest Chrystus, Boski ich założyciel, jak jednym jest Bóg! Istnieje wprawdzie kilka oddzielnych społeczności chrześcijańskich, ale społeczności te nie są kościołem założonym przez Chrystusa. Są to instytucje ludzkie, które powstały w znanych epokach i których założyciele są znani. Znanym jest Nestoryusz, ojciec nestoryanów, Focyusz, sprawca greckiego odszczepieństwa, Luter, Kalwin i inni założyciele tak zwanej re-

formacyi. Jedyny Kościół Chrystusa istniał już, gdy pojawili się ci szczególnie reformatorowie, Kościół ten istniał przed nimi i jest, co za tem idzie, jedynym prawdziwym istotnym Kościołem Chrystusowym, który nigdy istnieć nie przestawał. Jeden i niepodzielny Kościół chrześcijański powinien obejmować w łonie swoim wszystkie narody, nie może on zatem być narzędziem w rękę poszczególnych państw dla sprzyjania poszczególnym ich interesom kosztem innych. Kościół jest dla wszystkich ludów i dla wszystkich ras. Pozostając w jedności z nim, każdy powinien iść w kierunku swych przeznaczeń, nie wychodząc jednak nigdy poza obręb wielkiej i powszechnej społeczności, założonej przez Chrystusa dla zbawienia świata. Jeden z dyzunickich dzienników, zamieścił niedawno uwagę, że żaden z kościołów wschodnich nie nosi cech prawdziwie autonomicznej społeczności duchownej i że wszystkie stają się w rękach rządu słuźalczem narzędziem dla jego widoków politycznych.

Wychodząc z tego zasadniczego założenia, że Kościół założony przez Chrystusa Pana jest jeden i że jedność jego polega na wyznawaniu jednej wiary i wspólności duchowej jego członków, czujemy się w obowiązku przypomnieć naszym oderwanym od Kościoła braciom, że obowiązkiem wszystkich chrześcijan, a zwłaszcza tych, którzy stoją na czele innych, jest praca nad przywróceniem owej jedności, stosownie do życzenia Chrystusa Pana, który prosił Ojca swego, aby wszyscy ci, którzy w Niego uwierzą, stanowili jedną społeczność.

Prawosławni uznają, podobnie jak my, że Kościół jest jeden jedyny. Jedność jest główną jego właściwością i charakteryzującą cechą. Chrystus przyrzekł zbudować swój Kościół, nie zaś swoje kościoły, opierając go na Piotrze, pierwszym ze swych apostołów. Porównywa On Kościół ten do gmachu zbudowanego na mocnych fundamentach, do królestwa, którego klucze powierza, jako godło władzy najwyższej, pierwszemu ze swych apostołów. Temu to Kościołowi przyrzeka Chrystus poparcie swe, aby mógł zatryumfować nad wrogami i prowadzić wśród ludzi do końca wieków dzieło zbawienia.

Odnosnie do położenia, jakie wytworzył rząd turecki greckiemu Kościołowi, przytaczają prawosławne dzienniki znane słowa Zbawiciela, który powiedział o Kościele swym: »a bramy piekielne nie przemogą go«.

Niech nam wolno będzie przytoczyć w całości ów tekst z Ewangelii, który brzmi jak następuje: »A ja tobie powiadam, iż jeśli ty jesteś opoką: a na tej opoce zbuduję Kościół mój i bramy piekielne nie zwyciężą go. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązano i w niebiesiech.« (*Ew. św. Mateusza XVI, 18—19*).

Mówiąc o jedności chrześcijańskiej, przypomnieliśmy wolę najwyższą Boskiego Założyciela naszej św. religii, który chciał zjednoczenia tych wszystkich, którzy w Niego uwierzą.

Czyliżby mogła wcielona mądrość Boża, zakładając jeden i niepodzielny Kościół nie dać mu zarazem środków potrzebnych do utrzymania owej jedności? Stąd powstał w Kościele Bożym urząd, a raczej ciężar najwyższej godności. Bo jest to zaprawdę ciężar a nie czczy honor. *Onus magis quam honor* ta władza najwyższa, ustanowiona przez Chrystusa Pana dla zabezpieczenia jedności Jego Kościoła.

Ale kimże jest ten, którego Chrystus wybrał dla uczynienia go Głową widomą założonej przez siebie chrześcijańskiej społeczności?

Słowa, które powyżej przytoczyliśmy, określają to dostatecznie. Chrystus zwracając się do Piotra, którego pierwotne imię Szymona zmienia nie bez przyczyny na imię Piotra (skała) mówi, że na nim to zbuduje Kościół swój i że jemu powierza najwyższą władzę w nowej społeczności. Słowa te Chrystusa muszą mieć swoje znaczenie, jak to zauważył niedawno p. Nikolaides, jeden z wybitnych publicystów greckich, w słynnych swych listach zamieszczonych w ateńskim *Akropolisie*. Opowiadając bytność swą w bazylice św. Piotra w Rzymie, p. Nikolaides przytaczał zdanie zmarłego Azopiusa, który uważał twórcę odszczepieństwa Focysza za głównego sprawcę dzisiejszych klęsk hellenizmu.

Chcąc ustanowić powszechną społeczność, Chrystus Pan stworzył centrum jedności, z którym wszyscy chrześcijanie pozostawać muszą w związku, chcąc być członkami tej wspólnej całości. Takim jest istotne znaczenie słów Chrystusa. Wszyscy Ojcowie Kościoła przyznają jednogłośnie, że Piotr wybranym został przez Chrystusa na Głowę Kościoła, stanowiącą centrum jedności katolickiej. Że zaś Piotr św. umarł jako biskup Rzymu, wszyscy po nim rzymscy biskupi uznawani byli po wsze czasy tak przez wschodnich, jak i zachodnich chrześcijan jako następcy jego i dziedzice jego godności. Grecy zarzucają rzymskim papieżom wygórowaną ambicję, która budzić ma w nich rzekomą chęć do ujarzmienia innych kościołów i panowania niepodzielnie nad światem chrześcijańskim. Ależ tu przecież nie chodzi o ambicję, ani o panowanie, lecz o powagę ustanowioną przez Założyciela religii chrześcijańskiej, a uznawaną zawsze przez wszystkie poszczególne Kościoły, które łącząc się z Kościołem rzymskim, jako ze swym centrum, tworzyły z nim zawsze jeden i niepodzielny Kościół Chrystusowy.

Grecy podziwiają protestantów, okazując im specjalną predylekcję. Niektórzy utrzymują nawet, że łatwiejby im przyszło porozumieć się z protestantami, niż z katolikami. A przecież niektórzy nawet z protestantów i to najuczeńsi i najbieglejsi w Piśmie św.,

uznają wraz z nami, że Chrystus sam ustanowił tę najwyższą powagę dla utrzymania jedności Kościoła i że postanowienie to dobitnie zreformowane w Piśmie św., uznawanem było w pierwszych czasach przez całe starożytne chrześcijaństwo.

Oto co pisze w tej mierze uczony Grotius:

„Św. Paweł uczy nas, że powinni być w Kościele rozmaite stopnie władzy, aby Kościół mógł stanowić trwałą całość.” (*Eph. IV, 11*).

Tak w częściach, jak w całości, ład opierać się musi na jedności zwierzchniczej władzy. To właśnie pokazał nam Chrystus w osobie św. Piotra. To przyjął Cypryan od Chrystusa, to wreszcie powtarza Hieronim po Cypryanie a przeciw Jowinianowi. Głową kapłanów jest biskup, głową biskupów metropolita, lub każdy inny wybrany dla piastowania władzy. Głową zaś wszystkich jest biskup rzymski. (Zob. „Życzenie pokoju” art. 7).

Lejbnitz uznawał także, że św. Piotr obdarzony był władzą najwyższą, którą przekazał swym następcom i że był on mianowany Głową jedności Kościoła. (Zob. „System teologii”).

Ale pocóż nam te świadectwa pisarzy protestanckich? Powaga Doktorów i Ojców Kościoła wschodniego powinna mieć dla naszych braci dyzunickich większe znaczenie i wagę. Niech więc usłyszają, co mówi w sprawie papieża rzymskiego św. Ignacy, patriarchy grecko-konstantynopolańskiego:

„Wśród wszystkich członków Chrystusowej społeczności, Bóg, Zbawiciel nasz, Bóg Słowo w całej swej wszechmocy, Oblubieniec katolickiego apostolskiego Kościoła, wybrał i wskazał *jednego*, którego uczynił powszechnym lekarzem, a uczynił to, mówiąc do Piotra: „Ty jesteś opoką....”

Uzdrowicielem tym jest dziś Wasza Bratersko-Ojcowska Świątobliwość, gdyż błogosławione słowa te zwrócił Pan nie do jednego tylko księcia apostołów, ale do wszystkich papieży dawnego Rzymu, Jego następców. Dlatego to po wsze czasy, skoro tylko powstawały w Kościele herezye i nieład, chwasty owe wyplenione były przez tych, którzy zasiadali na Waszym tronie apostolskim.” (*List do papieża Mikołaja*).

Przed św. Ignacym jeszcze, inny patriarchy konstantynopolański, św. Nicefor, głosił, że w Kościele Bożym żadna ważniejsza sprawa, żaden artykuł wiary, nie może być rozstrzygniętym bez zgody i przyzwolenia papieża rzymskiego, który jest Głową społeczności chrześcijańskiej na mocy następstwa swego po księciu apostołów. (*Mowa apologetyczna o św. wizerunkach*).

Św. Flawian, patriarchy konstantynopolański, pisał do papieża Leona św. w chwili, gdy sposobiono się do zwołania soboru, że: „osobista powaga papieża wystarczyłaby dla rozstrzygnięcia kwestyi i przywrócenia pokoju Kościołowi zamąconemu przez herezyę.”

Wyjątkowe stanowisko jakie zajmuje w Kościele papież rzymski na mocy następstwa swego po św. Piotrze, wykazaniem jest lepiej jeszcze na mocy duchownego prawa, które wówczas jakkolwiek nie sformułowane przez żaden sobór, przestrzeganiem jednak było po wsze czasy w życiu Kościoła. *) Prawo to chce, aby żadna sprawa duchowna uregulowaną być nie mogła bez przyzwolenia Ojca św. i aby wszystko, co stało się wbrew jego woli, uważaniem było za żadne i nieobowiązujące. To prawo podstawowe przytoczonem już jest przez historyków greckich Sokratesa i Sozomena.

W chwili gdy Grecy przysposabiają się do zwolania narodowego swego zgromadzenia, sądziliśmy, że na czasie będzie przypomnieć im wielkie te i podstawowe prawdy. Niech przywiodą sobie na pamięć, że wielcy ich święci i uczeni, z których są słusznie dumni, byli do głębi duszy katolikami, ściśle zespolonymi ze Stolicą rzymską. Atanazy, Bazyli, Grzegorz Nazyzanzeński, Chryzostom i Cyryl, uznawali wszyscy w osobie papieża rzymskiego następcę św. Piotra i odwoływali się do najwyższego jego trybunału przeciw niecnym wyrokom swych prześladowców. Papież uważanym był przez nich za chwałę Kościoła konstantynopolańskiego, za wodza wodzów i arcybiskupa Kościoła, który jest na ziemi: *Ὁν ὁλον κεφαλὴν κεφαλῆς, ἀρχιεπίσκοπον τῆς ἐν ὁρίων ἐκκλησίας*.

Dzisiejszy Kościół grecki oddzielony od centralnego środka jedności chrześcijańskiej i tworzący osobną społeczność, znajduje się, z chrześcijańskiego punktu widzenia, w położeniu nienormalnem. Położenie tak sprzeczne z wolą Jezusa Chrystusa, który chce jedności swego Kościoła, może być tylko szkodliwym tak dla kościoła, jak i dla narodowości greckiej. Wprowadzenie rozdziału do Kościoła Bożego, wyjście poza obręb jedności katolickiej, oderwanie się od ustanowionego przez Boga centrum społeczności chrześcijańskiej, aby stworzyć społeczeństwo osobne, jest bezwątpienia poważnym występkiem.

Rozdzielenie Kościołów stało się szkodliwym dla greckiego Wschodu pod innymi jeszcze względami. Ogólnie jest dziś uznanem, że fatalny ten rozdział Kościołów stał się jedną z przyczyn upadku państwa bizantyńskiego, którego osamotnienie wynikło z owego rozdzielenia. Pewien znakomity publicysta, patriarcha publicystów greckich w Konstantynopolu, zwykł powtarzać, ilekroć sposobność mu się ku temu nadarzy: «Naród grecki nie wahał się poświęcić bytu cesarstwa bizantyńskiego dla utrzymania niezależności greckoprawosławnego Kościoła.» Uznaje on zatem, że upadek bizantyńskiego państwa nastąpił skutkiem rozdziału Kościołów.

*) Prawo to praktycznie uznane zawsze w Kościele — dogmatycznie zostało ściśle określone powagą Soboru watykańskiego. (Przyp. red. *Misyj katolickich*).

Nie chcemy twierdzić, że unia Kościołów przywróci Grekom państwo konstantynopolańskie. Nie mamy zamiaru przyrzekać im odzyskania sławy i wielkości ziemskich! Chcemy im tylko przypomnieć, że jako chrześcijanie winni są posłuszeństwo prawom Chrystusowym i że dlatego powrócić powinni do jedności katolickiej dla odzyskania w niej równie zaszczytnego stanowiska, jakie zajmowali niegdyś ich praojcowie.

Ufamy jednak chętnie, że z chwilą gdy odłączeni bracia nasi, wierni Boskim naukom, szukać będą przedewszystkiem królestwa Bożego i sprawiedliwości, reszta dodaną im będzie i że na łonie jedności katolickiej odnajdą oni także spokój, szczęście i cześć swego narodu.

X. Maxym Malatakis

kapłan grecko-katolicki w Konstantynopolu.

BIBLIOGRAFIA.

Notes sur la Médecine et la Botanique des Anciens Mexicains par A. Gerste S. J. Deuxième édition revue et corrigée. Ouvrage couronné par l'Institut [Académie des Inscriptions et Belles-lettres]. Prix Loubat, 1910. Rome. Imprimerie Polyglotte Vaticane 1910.

Pod powyższym tytułem ukazała się w drugim wydaniu książka O. A. Gerste T. J., niepospolitej naukowej wartości. Czytelnicy nasi z pierwszych trzech rozdziałów drukowanych za zezwoleniem autora w *Misyjach katolickich* (str. 35, 64, 94) mogli się przekonać o gruntowności w przedstawieniu zupełnie nieznanym szerszym warstwowi społeczeństwa naszego szczegółów dotyczących medycyny meksykańskiej i magii medycznej. W następnych rozdziałach mówi autor o terapii, a najobszerniej o botanice dawnych Meksykanów, o pierwotnych badaniach roślin, o ich ikonografii konwencyjonalnej i obrazowej, o podziale i nazwach roślin, o ich klasyfikacji, wreszcie podaje autor zarys geografii botaniki meksykańskiej, a kończy rozdziałem o kwiatkach w poezji plemienia mówiącego językiem nahua. W dodatku autor omawia naukowe najnowsze prace o medycynie i botanice dawnych Meksykanów.

W swym dziele O. A. Gerste opiera się nietylko na rzadkich i mało dostępnych starych drukach traktujących o tej materii, oraz rękopisach dotychczas mało znanych, lub wcale nieznanym, ale także na własnych badaniach dziesięcioletnich podczas swego pobytu w Meksyku. Nasi uczeni z przyjemnością i pożytkiem mogą to dzieło przeczytać.

X. M. C.

ROZMAITOŚCI.

Kraj stuletnich.

Krajem, który zasługuje na to miano, jest Brazylia. Dr Peireiro Pazos, uczony z Rio Janeiro, ogłosił na podstawie grun-

townych badań zadziwiająco doprawdy fakta, podane następnie w sprawozdaniu OO. Benedyktynów brazylijskich: *Bulletin des oeuvres et missions Benedictines, au Brasil*. Według tego sprawozdania, w samej stolicy Brazylii żyje obecnie 182 ludzi stuletnich, którzy według rasy, wieku i pochodzenia, podzielić się dadzą w następujący sposób:

Stuletnich jest tam: 31 Brazylianiek, 21 murzynek, 10 murzynów, 5 Brazylijczyków, 2 Portugalki, 1 Hiszpanka, 1 Włoszka. Ostatnia z nich znajdowała się w Rzymie podczas obioru papieża Grzegorza XVI. — 101 lat mają: 1 Brazylijczyk, 1 Brazylianka, 1 murzynka, 1 Hiszpanka. Brazylianka jest matką 20 dzieci, babką 9 wnuków, prababką 11 prawnuków i praprababką 2 praprawnuków. — 102 lata mają: 2 Brazylijczyków, 2 Brazylianki, 1 murzyn, 1 Portugalczyk. — 103 lata: 2 Brazylianki, 1 murzyn, 1 Portugalczyk. — 104 lat: 1 Brazylijczyk, 1 murzynka, 1 Portugalka. — 105 lat: 5 Brazylijczyków, 5 Brazylianiek, 10 murzynów, 4 murzynki, 1 Portugalczyk. — 106 lat: 5 Brazylianiek, 2 Brazylijczyków, 1 murzynka. Dwie Brazylianki należące do dwóch ostatnich grup, obdarzone są bardzo licznem potomstwem. Jedna z nich ma siedmioro dzieci, 26 wnuków, 15 prawnuków i 5 praprawnuków. Druga ma 14 dzieci, 18 wnuków, 13 prawnuków i 3 praprawnuków. — 107 lat mają: 3 Brazylianki, 1 Portugalczyk. — 108 lat: 2 Brazylianki, 1 murzyn. — 109 lat: 3 Brazylianki, 1 Brazylijczyk, 1 murzyn. — 110 lat: 5 murzynek, 3 Brazylianki, 2 Brazylijczyków, 2 murzynów. — 112 lat: 2 Brazylianki. 113 lat: 2 Brazylianki. — 114 lat 1 Brazylianka. — 115 lat: 4 Brazylianki, 1 Brazylijczyk, 1 murzyn, 1 murzynka, 1 Włoch. Brazylijczyk ma 18 synów, z których najstarszy liczy 88 lat. — 116 lat 1 Brazylianka. — 120 lat: 1 Brazylianka, 2 murzynki. — 121 lat 1 Portugalczyk. — 122 lata 1 Brazylianka, matka 6 dzieci, z których najmłodsze liczy 82 lat. — 123 lat 1 murzyn. — 125 lat: 1 Brazylijczyk, 1 murzynka. — 130 lat: 1 murzyn, 3 Brazylianki. Jedna z nich urodziła się 24 czerwca 1776 r., mąż jej umierając liczył lat 95, oboje rodzice doszli do przeszło 100 lat. Ona sama pracuje od lat dziesięciu w garncarstwie, jest zupełnie czerstwa, umysł ma przytomny i nie potrzebuje obcej pomocy. Pamięta jeszcze Dom Juana VI i Dom Pedra I. Najmłodszy jej syn liczy lat 75, a najmłodsza córka 72. Otacza ją liczne grono 68 potomków, dzieci, wnuków, prawnuków, aż do piątego pokolenia. Czcigodna ta prababka nie jest jeszcze najstarszą obywatelką Rio Janeiro. Znajduje się tam jeszcze 1 murzyn liczący 132 lata, 2 Brazylianki liczące po 137 i 138 lat, 1 Brazylijczyk i 1 murzyn liczący po 149 lat.

Z tych 182 długowiecznych, 99 urodziło się w Brazylii, 68 w Afryce, 7 w Portugalii, 2 w Hiszpanii i we Włoszech. Podług rasy żyją najdłużej murzyni, podług płci zaś przeważają kobiety, których na ogólną liczbę 182 jest 118.

Trudniej jest wprawdzie przeprowadzić to samo badanie we wnętrzu kraju, wedle wszelkiego jednak prawdopodobieństwa, doprowadziłoby ono do takichże wyników. I tak np.: w Stanie Minas Geras żyje 9 Brazylijczyków liczących od 100 do 130 lat. W okręgu Uba umarła stara panna, Franciszka Roza, doczekawszy pięknego wieku 154 lat. Umysł miała zupełnie przytomny, dopiero na 32 dni przed śmiercią zachwiała się jego równowaga.

Przytoczone powyżej statystyczne dane, zdają się dowodzić, że klimat Brazylii nie zasłużył na złą sławę, jaką miał tak długo. Żółta febra grasująca dawniej tak straszliwie wśród Europejczyków, nie jest wcale chorobą miejscową, lecz została tu zawleczoną. Odkąd udało się ją opanować, śmiertelność w Rio Janeiro zmniejszyła się znacznie, a statystyka daje tu pod tym względem cyfry korzystniejsze, niż w jabej bądź stolicy świata. I tak: w r. 1905 na 874.000 mieszkańców było wypadków śmierci tylko 14.633.

NEKROLOGIA.



Msgr Piotr Ksawery Mugabure, arcybiskup Tokio (Japonia).

Piotr Ksawery Mugabure urodził się dnia 1 września 1850 r. w Guethary, dycezyi Bayonne (Niższe Pireneje). Wychowany przez swego wuję, proboszcza w Saint-Martin, d'Arberone, Piotr Ksawery usłyszał w sobie wcześniej głos wewnętrzny, powołujący go do stanu kapłańskiego. Równocześnie prawie dusza jego zażętniła do życia apostolskiego, skutkiem czego zapukał on do furty seminarium misyj zagranicznych w Paryżu. Wświęcony na kapłana dnia 19 września 1874 r., przeznaczonym został do Japonii i odpłynął z Marsylii dnia 16 grudnia tegoż roku. Okres prześladowań skończył się właśnie w Japonii, wygnani za wiarę chrześcijańską powrócili do swoich ognisk domowych, w nowej stolicy Tokio otrzymano koncesyę na budowę rezydencji misyjnej i wykończano właśnie dom i tymczasową kaplicę. Wszystko tchnęło nadzieją, a dekret z dnia 22 maja 1876 r. podzielił Japonię na dwa wikaryaty, północny i południowy. Podział ten zniesionym został w 15 lat nowym dekretem Leona XIII, który w miejsce dawnych wikaryatów ustanowił cztery dycezye: Tokio, Nagasaki, Osaka i Hakodate. W chwili przybycia X. Mugabure, Japonia północna miała ośmiu wędrownych misjonarzy, którzy roznosili Ewangelię po miastach i miasteczkach. Inni, przebywający stale na miejscu, organizowali na nowo dawne gminy chrześcijańskie. X. Mugabure czynnym był wówczas w obu tych rodzajach kapłańskiej pracy. Następnie założył on nowe stacje misyjne w Jokohamie i Szidzuoka. Przebywał lat pięć w tej ostatniej misyi, z której powołanym został na stanowisko koadjutora Msgr'a Osufa, arcybiskupa Tokio, na mocy brewe z dnia 21 marca 1902 r., a konsekracja jego odbyła się dnia 22 czerwca tegoż roku. Gdy w cztery lata później Bóg powołał do siebie czcigodnego arcybiskupa, Msgr Mugabure zajął jego miejsce i ujął w ręce swoje ster dycezyi Tokio. Obdarzony był tak silnem zdrowiem, że można było mniemać, iż długie lata jeszcze pracować będzie na swem nowem stanowisku, stało się jednak inaczej. W listopadzie roku zeszłego dostał nagle silnego krwotoku i zdrowie jego zachwiała się. Lekarze zalecili mu powrót do Francji, w nadziei wstrzymania postępów choroby, a Msgr Mugabure udał się wówczas do sanatorium w Montbeton, następnie zaś do rodzinnych stron w okolicach Biarritz. Z początku zdawało się, że rany się zbliznią, ale nastąpiło nagłe pogorszenie. Dnia 27 maja chory przyjął ostatnie Sakramenta z wielką rezygnacją i zdaniem się na wolę Bożą i zgasł cicho wieczorem tegoż dnia, ofiarując życie swoje za nawrócenie ludu japońskiego.

W. O. Michał de Carbonara, Kapucyn, prefekt ap. Erytrei.

Donoszą nam o śmierci O. Carbonare, który zarządzał 16 lat misją Erytrei. Urodzony w Carbonara Scrivia, obok Tortone (prowincja Aleksandryi), dnia 10 października 1836 r., a wyswięcony na kapłana dnia 18 czerwca 1859 r., wstąpił później do nowicyatu OO. Kapucynów dnia 27 listopada 1888 r. i został profesorem dnia 8 grudnia 1892 r., w dwa lata zaś później wyjechał do Afryki wschodniej dnia 18 grudnia 1894 r. W owym czasie minister Crispi wyrobił właśnie u papieża Leona XIII postanowienie wydalenia z Erytrei francuskich Lazarystów i postawienie na ich miejsce włoskich Kapucynów. Ustanowiono więc w Kerenie prefekturę apostolską, której kierownictwo oddanem zostało O. Michałowi de Carbonara. Wybór ten był bardzo szczęśliwy tak dla sprawy misyi, jak i dla Włoch. Dobroć, takt i patriotyzm znakomitego kapłana, zrobity więcej w tym kraju dla sprawy włoskiej, od wszelkich wpływów oficjalnej dyplomacji. Misyonarz gorliwy, ale zarazem gorący patriota, oddany całem sercem swemu

krajowi, O. Michał odegrał wybitną rolę we włoskich koloniach w Afryce. Był on mężem zaufania Watykanu i Kwirynału. Ceniony wysoko przez ministerium spraw zagranicznych, cieszył się we Włoszech wielką popularnością. Żołnierze włoscy, którym niósł pomoc i pociechę na polu bitwy pod Aduą, zachowali o nim niewygasłe wspomnienie. To też gdy po śmierci jego, katolicki deputowany z Medjolanu, X. Meda, wypowiedział o nim mowę pochwalną z trybuny parlamentarnej, przemówienie to przyjętem zostało gorącymi oklaskami.

W. O. Ludwik Bardin T. J., były przełożony misji Madagaskaru.

Urodzony dnia 1 listopada 1856 r. w Marvejols (Lozera), O. Bardin udał się do Madagaskaru w r. 1886.

O. Suau przesyła nam następujące szczegóły z życia nieodżałowanego zmarłego:

»W. O. Bardin, długoletni przełożony naszej misji, był za prawdę wyjątkowej wartości misjonarzem. Jego wspaniała męska postawa i doskonała znajomość języka i charakteru Malgaszów, robiły z niego wybornego kierownika wszelkich spraw misyjnych. Poświęcenie jego nie miało granic. Będąc kapłanem naczelnym w czasie kampanii 1896 r., miał pieczę o szpitalach w Suberville i Andryzie. Generał Duchesne okazywał mu przy każdej sposobności życzliwość swą i wdzięczność. Ci, którzy brali udział w owej wojnie, zachowali niezawodnie wdzięczną pamięć o tym kapłanie o postawie olbrzyma, a tklivem, choć silnem i spokojnem sercu. Podzielił też oni zapewne boleść naszą po stracie tego dzielnego misjonarza Madagaskaru, który zmarł w Tananarivie dnia 24 czerwca b. r.»

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISYJ.

Azya. — Początki Kościoła katolickiego w Turkiestanie. —

W. X. Bronisław Rutenis, administrator parafii w Taszkencie, stolicy Turkiestanu (jak wiadomo jednej z gubernii południowej Rosyi), donosi W. X. Edwardowi hr. O'Rourke, sekretarzowi arcybiskupa mohylewskiego pod dniem 4 sierpnia b. r.:

»Turkiestan katolicki bardzo jeszcze młody, bo zaledwie 8 lat liczy swojego istnienia. Pasterza faktycznie miał tylko jednego, W. X. Pranajtisa. Rolnik to był prawdziwy i rzeczywiście zasłużył na miano »apostola Turkiestanu«. Całą bowiem siłę wyteżył nad pługiem tego pola pod wielu względami dzikiego, całą swą duszę włożył w tę pracę. To też z pełnym żalem dziś go żegnamy, tembardziej, że kiedy był wśród nas, tośmy go nie poznali i nie ocenili. Tyle trudów, tyle przeszkód, tyle niewdzięczności, a jednak nic go nie zrażało i nie podbijało, szedł przebojem drogą idei z tem przekonaniem, że nią pójdzie do końca. Opatrzność Boża jednak inaczej zrządziła; nie warci widocznie byliśmy takiej osoby. Co do mnie osobiście, to szczęśliwym się czułem, że nad sobą miałem takiego kierownika i obecnie tylko ubolewam nad tem, że tak krótko z nim byłem.

Pamiętkę po sobie zostawił niezatartą, pomnik nieśmiertelny stworzył swoim mozołem, który będzie świadczył o mistrzu swoim. Zostawił po sobie: trzy kościoły — w Aschabadzie, Kizil-Arwacie i Nowym Maryelanie (obecnie Skobelewie); trzy kaplice — w Wiernym, Kopale i Dżarkencie na granicy chińskiej; place pod kościoł przygotował w Samarkandzie, Czardżuju, Merwie, Krasnowodzku, Kokandzie i Termezie. Do tego dodać potrzeba dwa wagony-kaplice, przyrządzone do odprawiania nabożeństwa na stacjach kolejowych, jako też plebanię w Taszkencie z przytułkiem i warsztatami do przyszłej budowy kościoła. To tylko część materyalna; może ona też pod pewnym względem dowodzić i strony moralnej, bo oprócz rąk do tego potrzeba było i ducha, którego mu nigdy

nie brakło, którym litylko żył, bo materya - pieniądz dla niego żadnej nie miał wartości. Powiadam, że takiego drugiego proboszcza Taszkient już się nie doczeka. Mając parafię, obszarem nie jedną dycecyę przewyższającą, bo o dwóch milionach wiorst kwadratowych i wszędzie być i wszędzie coś po sobie zostawić, to bez znaczenia być nie może.»

Z radością dowiadujemy się w ostatniej chwili, że władza kościelna na nowo oddała parafię Taszkientu W. X. Pranajtisowi. Szczęść mu Boże na tym posterunku. Mamy nadzieję, że czytelnicy nasi nie zapomną ani w modlitwach, ani w ofiarach o potrzebach religijnych Turkiestanu.

Nowy patriarcha Cylicyi. Dowiadujemy się, że X. Terzian, biskup Taosu i Adany, mianowanym został przez synod armeński patriarchą Cylicyi. Życzymy więc długiego życia i pomyślnego patriarchatu JE. Pawłowi Piotrowi XIII. *Ad multos et faustos annos.*

Japonia. — W. O. Jan Chrzyciel Le Couteur, zakonnik z klasztoru Najświętszej Panny *du Phare*, pisze z Hakodate dnia 27 kwietnia 1910 r.:

»W. O. Przeor naszego klasztoru, chcąc dać poznać Japończykom znaczenie zakonu Cystersów, wydał w języku japońskim broszurę o tym zakonie, a książka ta doczekała się tu wielkiego rozgłosu. Poganie nawet ubiegają się o jej odczytanie, a jeden z największych dzienników buddyjskich, wychodzący w Kyoto, przedrukował ją prawie w całości. Sądzę, że nie obojętnem dla was będzie usłyszeć zdania o broszurze redaktora owego dziennika, który jest sam buddystą i uznanym jest wśród swych współwyznawców za powagę naukową. Przytaczam tu więc jego słowa:

»O, czytelnicy! Jakież wrażenie odnieśliście po odczytaniu ogłoszonego przez nas artykułu, zatytułowanego *Trapista*. Ci, którzy niechętni są Trapistom, mówią, że ludzie ci przychodzą tu na szkodę naszego kraju, gdzie uprawiają grunta i zakładają nowe społeczeństwo. Co za zuchwałość, co za niedelikatność z ich strony! płamią przez to i gubią nasz naród. Ci, którzy mówią w ten sposób, składają tem tylko dowód, że nie wyrzekli się dotąd starych przesądów. Przytem mówiąc tak, nie mają słuszności, bo Trapiści, którzy osiedli u nas, stosują się do naszych praw krajowych, mimo że pozostają jednocześnie wiernymi swej religii i zakładają wiejskie osady podług swych zasad. Zamiast więc ganić ich, powinniśmy raczej pochwalać stałość ich w wierze i uczciwość ich postępów. Pracują oni rzeczywiście nad rozpowszechnieniem swej wiary i trwają w niej pomimo niezliczonych przeszkód i przeciwności. A czy wielu jest wśród naszych buddystów, którzyby byli równie jak oni silni w wierze? Ilu znajdzie się wśród stu tysięcy naszych wyznawców, którzyby gotowi byli ich naśladować? Gdyby buddyści nasi posiadali ich wiarę i gorliwość, inaczejby nam poszło nawrócenie Korei, gdzie nie napotykamy przecież tak wielkich trudności, jak oni w kraju zupełnie obcym. Jeżeli buddyści pracujący nad nawróceniem Koreańczyków, tak małe dotąd odnieśli korzyści, to dlatego, że i sami nie są bez winy. Nie żądamy od nich, aby zakładali za przykładem Trapistów nowe osady w Korei i w Mandżurji. Byłoby to zbyt bezcelne, gdyż i tak spotyka się dużo buddystów w obu tych krajach. Przytem wiara nasza nie wymaga tak surowych reguł, jakie mają Trapiści, którzy szukają miejsc samotnych i odludnych. Wiara nasza pozwala nam mieszać się z ludźmi świeckimi, a religia nasza ma tę dobrą stronę, że da się do każdego przystosować, ale wśród wyznających ją ludzi jakże mało jest takich, którzyby posiadali gorliwość i odwagę Trapistów, dlatego to zdobyliśmy tak nieznaczne tylko powodzenie w Korei i Mandżurji. Nie praw naszych w tem winą, lecz ludzi. Któryż więc z czytelników naszych nie zechce dla przykładu rozpowszechniać artykułu naszego *Trapista*.«

Przytoczywszy te uwagi buddyjskiego dziennika z Kyoto, O. Le Couteur dodaje jeszcze od siebie co następuje:

„Słowa takie mają doniosłe znaczenie w ustach zwłaszcza poganina buddysty. Artykuł ten nie przejdzie niepostrzeżenie, lecz ściąganie nam niezawodnie mnóstwo odwiedzających. Oby się stał przedewszystkiem pobudką do stałych nawróceń, skłaniając Japończyków do bliższego poznania wiary św., odnoszącej stale powodzenia, do jakich buddyzm uznaje się sam nie zdolnym.“

DARY NA MISYE

nadesłane do Redakcyi „Misij katolickich“ od dnia 29 sierpnia do 18 października 1910 roku.

Na misye najbardziej potrzebujące wsparcia: kor. hal.

N. N. z Mochnowka	10—
W. X. Pasztalski z Ostrowa	105·78
Kazimiera Włochowa z Leżajska	1—
W. X. Licznarski z Pelplina	141·03
P. Semonowicz	3—

Razem 260·81

Na misye zagraniczne do uznania redaktora „Misij katol.“:

N. N.	151·20
Józef Szarek z Detroit	9·14
N. N. z Brzezinki	4·28
W. X. N. N. z Poznania	58·50
W. X. N. N. z Tarnowa	50—
W. X. S. Ruszyński ze Sławuty	151·20

Razem 424·32

Na potrzeby Kościoła w Bośni, kościoły i kaplice:

W. X. Zdebski	10—
N. N.	8—
N. N. z Krosna	6—
W. X. Wawro	10—
W. X. Steffen	30—
N. N. ze Lwowa	10—

Razem 74—

Dla biednych dzieci i młodzieży uczącej się w Bośni:

Prof. N. N. z Jasła	20·30
N. N. z Krosna	3—
W. X. Wawro	10—
W. X. Podraza	5—

Razem 38·30

Dla sierot bośniackich X. Arcybiskupa w Sarajewie:

W. X. Wawro	10—
-----------------------	-----

Dla biednych w Bośni wogóle:

W. X. Wawro	10—
-----------------------	-----

Dla głodnych starców i sierot w Bośni:

Z. Z. ze Lwowa	20—
--------------------------	-----

Dla biednych księży w Bośni:

W. X. Wawro	10—
W. X. R. Szyszko od kilku osób z Kijowa	73·63
P. Franciszka Łukowska	25·40

Razem 109·03

Dla Polaków w Bośni:

W. X. Tołowiński z Siedlec	12—
--------------------------------------	-----

Dla JE. X. Arcybiskupa Mirowa na szkoły bułgarskie:

N. N. z Krosna	3—
--------------------------	----

Na misye w Chinach:

W. X. Borkowski z Chlewisk	12·60
--------------------------------------	-------

Dla Siostry Miłosierdzia Pauliny Moniak w Shanghaju w Chinach:

N. N. z Krosna	3—
--------------------------	----

Dla Siostry Miłosierdzia Józefy Słomkowskiej w Taurisie w Persyi:

N. N. z Krosna	2—
Konstanty Z. z Petersburga	7·56

Razem 9·56

Dla X. Augustyna Płaczka w Hong-Kongu:

N. N. z Krosna	3—
--------------------------	----

Na utrzymanie trędowatego w szpitalu św. Jana w Birmie:

P. Tyszkowska z Malinowa	12—
------------------------------------	-----

Na wykupno dzieci:

W. X. Hirszyn	126—
-------------------------	------

Dla X. J. M. Corre w Kumamoto w Japonii:

W. X. J. Krupiński z Jazowska	8—
W. X. Bily z Plau	20—

Razem 20—

Dla X. Osaki, proboszcza na wyspie Goto w Japonii:

Konstanty Z. z Petersburga	25·20
--------------------------------------	-------

Dla trędowatych O. Beyzyma T. J. na Madagaskarze:

Trzej alumni seminarium z Kielc	7—
W. X. J. Krupiński z Jazowska	8—
Hr. Iliński z Oktawina	152·37

Razem 167·37

Na automobil w misyi zambezkiej dla X. Hankiewicza T. J., misyonarza w Boromie (Afryka):

W. X. Zdebski	10—
N. N. z Krosna	2—
W. X. Augustynik	5—
W. X. Gorczyński z Świerczynki	58·50

Razem 75·50

Na misyę w Boromie (Afryka):

W. X. Chwastecki z Jezioro	25·40
--------------------------------------	-------

Na naprawę parowczyka „Salvador“ w misyi zambezkiej (Afryka):

N. N. z Krosna	2—
W. X. Gorczyński z Świerczynki	58·50

Razem 60·50

Dla O. Bulsiewicz T. J., misyonarza w Angonii (Afryka):

N. N. z Krosna	2—
--------------------------	----

Dla O. Hillera T. J., na ochronkę w Angonii:

Józefa Kaczyńska	2·53
----------------------------	------

Dla X. Prefekta apostolskiego, Stanisława Poraj Królikowskiego w Namakwalandzie:

N. N. z Krosna	3—
--------------------------	----

Dla M. Stanisławy, Dominikanki misyonarki na wyspie Św. Trójcy:

X. J. Krupiński z Jazowska	4—
--------------------------------------	----

Na Świętopietrze:

P. Głanowa z Poznania	1·17
Sodalicya Pań z Nowego Sącza	10—

Razem 11·17